

n. 23

258

Dr. Stanisław Wierzbicki

1880.

66

**KRÓL
ZAMCZYSKA**

POWIEŚĆ

SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO.



Drugie niezmiennione wydanie.

POZNAŃ.

Nakładem N. Kamińskiego i Spółki.

1847.

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



II

230857



n. 23

258

Dr. Stanisław Wierzbicki

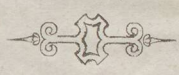
1880.

66

**KRÓL
ZAMCZYSKA**

POWIEŚĆ

SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO.



Drugie niezmiennione wydanie.

POZNAŃ.

Nakładem N. Kamińskiego i Spółki.

1847.

230857.11

Poznań, dnia 31. Marca. 1847.



1949. H. 675

I.

Machnicki waryat.

Machinists' Warpage

I.

MACHNICKI WARYAT.

Poezya jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbronna, jak zbawienie, jak uczciwa sława. Nawet nasz wiek tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezję. Nie jest ona wprawdzie ani rajska, ani homeryczną, ani romantyczną, ale jest tak dobrą, jak wszystkie starsze jej siostry, jest poezją swojego czasu. Nie potrzeba jej daleko szukać, nie potrzeba jej uganiać po za obrębem dzisiejszej ludzkości, nie potrzeba jej sobie wymyślać, jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych.

O! ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć, widzieć, być nawet uczestnikiem takich spraw, że największy

poetyczny geniusz nieby poetyczniejszego wymyślić nie potrafił, że obok nich wszystkie utwory wyobraźni były poronionym płodem, obudzały niesmak w czytaniu. Dla tego przenosiłem zawsze towarzystwo ludzi nad towarzystwo książek, przyrodę nad bibliotekę. Chwile przeżyte pod wpływem takiej poezji, stanowią najdroższy zapas najmielszych w mojem życiu wspomnień: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w krainie podkarpackiej: do niej należy zdarzenie, które tu chcę opowiedzieć.

Badanie mojego kraju pod każdym względem jest wrodzoną mi namiętnością, a widok okolic szczególniejszy ma dla mnie urok, mocniejszy niemal niż znajomości z ludźmi. Pod takim bodźcem przebiegając w dół i w szerz Galicyą, znalazłem się w obwodzie Jasielskim, w okolicy Krosna, nad brzegami Wisłoka. Nie każdemu zapewne z moich braci wiadomo, że Podgórze Galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce; trochę więcej oświaty, trochę więcej dobrego bytu między mieszkańcami, korzystniejsze cokolwiek położenie względem innych krain, a miałyby niepoślednią w Europie głośność. Obwód Jasielski, a mianowicie brzegi Wisłoka od jego źródła aż do Pilzna, odznaczają się już fizyonomią téj krainy. Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniej pociągającym ku sobie moje oczy i serce, były zwaliska zamku Odrzykońskiego.

Wszelkie ruiny tego rodzaju są dla mnie jakby grobem rodzinnym, widmem przeszłości, hieroglificznym kluczem od wiekowych dziejów, światem niewyczerpanym wspomnień, marzeń, smutków i pociech rzeźnych. Ile razy spojrzę na coś podobnego, tylekroć zdaje mi się słyszeć głos wewnętrzny: i tu pogrzebiony członek twojej przeszłości! a wnet religijne uczucia napełniają duszę, myśl podnosi się, budzi wolę, kieruje krok pielgrzymi, i jestem wśród gruzów.

Kilka dni już upłynęło od przybycia mojego w okolicę Odrzykonia, a niemógłem zwiedzić zameczyska. Odległość, czas dżdżysty i inne przeszkody oddalały odemnie roskosz tej pielgrzymki. A tymczasem widmo z waliska po całych mię dniach prześladowało. Panując wzniosłem położeniem nad okolicą, zdawało się z każdej strony zachodzić mi w oczy. Nie było zmiany cienia i światła, w którejby go nie widział; nie było fantastycznej postaci, którejby nie wywołało z mojej wyobraźni. Podniosłali się za nim nawałna chmura, to na jej tle czarném poziewajacem błyskawicami, widziałem olbrzyma mojej przeszłości, złamanego zgruchotanego, zwałonego, miotanego śmiertelnemi bólami, ale dawna wielkość groziła z jego czoła, oddychał ogniem, wypuszczał grzmotami słowa błogostawieństw, strzałami piorunów przypominał się światu, że żyje: czasami zamglila go siatka deszczu; wówczas tajemnicza jego postać, obwiana tą zasłoną, stała przedemną,

jak anioł wiary i nadziei: inną razą błyszczący całym przepychem dnia wschodzącego, był dla mnie uosobieniem przyszłości, zmartwychstaniem nowej postaci, w promieniach nowego ducha, a i wtedy nawet, kiedy w przerwach słoty uśmiechał się ponurym blaskiem zachodu, i wtedy nawet obudzał tysiąc myśli nie całkiem ponurych. Jedném słowem, wszystko co doznawałem w owój chęci i niemożności obejrzenia zwalisk, porównać tylko można z czuciami miłości w duszy dziewiczej, z jej marzeniami.

Tymczasem zbierałem troskliwie rozliczne wieści dotyczące się jego dziejów. Źródło ich nie było obfite. Mógłem czerpać jedynie z towarzystwa, w którym żyłem; a wiadomo nam, jak mało teraźniejsza szlachta przywiązuje wagi do podobnych rzeczy. Obok ich gumien, obok ich gorzelni, czémże są te wszystkie choćby najpyszniejsze zwaliska? Wiadomość jarmarków w pobliskim miasteczku, zabawa sąsiedzka, szczególnie jakiegoś wesela lub pogrzebu, tyle zatrudniają ich pamięć i myśli, że niema w nich miejsca dla podać jakiegś tam ruiny. Nie mógłem przeto dowiedzieć się nic więcej, tylko, że zamek Odrzykoński zbudowany był przez Firlejów, że w jego okolicy musiały się odbywać krwawe bitwy, bo dziś jeszcze wyorują broje i kule, że przed kilkudziesiąt laty był zamieszkały, i przechowywał w swoich piwnicach odwieczne wino, że później ludzie przybyli w pomoc losom, nie pogodom i czasowi, i w zawody go niszczyli, że natomiast powstały z jego gruzów klasztor kapucyński w Krośnie, kilka kamienie w Korczynie, kilka gorzel-

ni, stajnia dla cesarskich ogierów, i tym podobnie: że dziś nakoniec razem ze wsią tego nazwiska jest własnością hrabiego Jabłonowskiego.

— Więc dzisiaj zupełnie zniszczony — mówiłem do gospodyni domu, która mi najwięcej powyższych szczegółów dostarczyła.

— Prawie zupełnie — odpowiedziała — od czasu, jak się zapadły dwa pokoje, które jeszcze przed laty kilka były zamieszkane.

— Zamieszkane? Przez kogo?

— Przez Machnickiego.

— Któż to był ten Machnicki?

— On jest jeszcze. Zapomniałam poznać z nim Pana. Najważniejszy to dzisiaj szczegół Odrzykońskich zwalisk. Machnicki jest, mówiąc krótko, waryat. — O przyczynach jego obłąkania rozmaicie powiadają. Najpodobniejsza do prawdy powieść, że będąc urzędnikiem cesarskim, oddał się zbyt pracy swojego urzędu i tym sposobem stracił jedną kłepkę. Po tym przypadku naturalnie został bez domu: a że miał zawsze szczególny pociąg do zamczyska, tam więc zamieszkał dwa pozostałe pokoje, i był ich mieszkańcem, dopóki nie runęły. Nadto, potrzeba Panu wiedzieć, że się nazywa Królem Odrzykońskim i uważa się za samowładnego pana owych ruin, a ztąd mamy nieraz pełno scen pociesznych.

Ciekawość względem podobnych ludzi jest łatwa do wytłumaczenia, nie dziw przeto, że mię zajęła powieść o Machnickim i chciałem powziąć, jak najdokładniejsze jego wyobrażenie.

— Pani go zna? — zapytałem.

— O mój Boże! — odpowiedziała z uśmiechem, — jak zły szeląg. Bywa u nas częściej niż gdziekolwiek, bo trzeba panu wiedzieć, że to nie jest wariat z rodzaju pospolitych: ma on wiele wrodzonych zdolności i nauki co i dziś jeszcze widać. Są chwile, że wziąłbyś go Pan za człowieka z najzdrowszym rozsądkiem. Zdarzyło się to niedawno jednemu z podróżujących cudzoziemców: Machnicki mieszkał jeszcze w swojej królewskiej rezydencji. Ów cudzoziemiec zwiedzając zamczysko, spotkał się z nim, wszedł w rozmowę, bo trzeba Panu wiedzieć, że Machnicki mówi bardzo dobrze kilką językami, i znalazł go tak dobrze, że wrócił do nas oczarowany tą znajomością.

— Któż? Machnicki?

— Ale, gdzie tam. Cudzoziemiec podróżny. Zaczął nam tedy opowiadać, że nie spodziewał się znaleźć w tym wieku i w Polsce pustelnika tak rozumnego. Nie mało zadziwił się, kiedyśmy odkryli, kto to był w samej rzeczy ów jego uczony pustelnik. Mimo to jednak pewna jestem, że odjechał, nie zupełnie nam wierząc.

— Z tego wszystkiego, co od Pani słyszę, jestem bardzo ciekawy poznać Machnickiego. Szkoda, że opuścił zwaliska, miałbym powód jeden więcej do ich zwiedzenia.

— Nie łatwiejszego, jak go poznać, nawet w zamczysku, bo choć tam więcej nie mieszka, to pracuje ciągle, wałęsa się po niem; codzień go Pan spotkasz. Ale byłby to trud niepotrzebny. Zobacysz go Pan w naszym domu. Pojutrze imieniny mojego męża: Machnicki tego dnia nigdy nie opuści: zaszczyca nas co rok swoim powinszowaniem, bo trzeba Panu wiedzieć, że Machnicki jest także poeta, a wiersze jego wcale nie złe. Często obdarza niemi sąsiedztwo z powodu rozmaitych okoliczności. Najdziwniejsza rzecz w takim waryacie, że ma bardzo wiele dowcipu, ale dowcipu tak złośliwego, że nieraz można myśleć, czy nie udaje głupiego, aby mógł tém bezpieczniej kasać. Niektórzy szczerze gniewają się za jego przycinki, my co go lepiej znamy, serdecznie się śmiejemy, bo czyż można gniewać się na biednego waryata? a że takim jest, sam Pan przyznasz, jak go tylko ujrzysz.



II.

Imieniny.

II

Imaging.

II.

IMIENINY.

Ze szczerą niecierpliwością wyglądałem owego dnia imienin, który miał mi nastreczyć sposobność poznania Króla Zamczyska; z powiększoną kiedy wreszcie nadszedł. Towarzystwo było liczne i przyjemne, ale ja o Machnickim tylko myślałem. Miało się już ku zachodowi słońca, a jego jeszcze nie było. Zabierano się właśnie do obiadu, kiedy oznajmiono przybycie gościa, oczekiwanego prawie przez wszystkich, ale przez wszystkich z innego, jak mój powodu. Byliśmy wówczas w jadalnej sali. Otwierają się drzwi.

A! Pan Machnicki! Pan Machnicki! zawołano ze wsząd.

On to był w istocie. Wszedł ze śmiałą pewnością siebie, którą daje, albo ciągłe życie wśród świata ukształconego, albo uczucie wewnętrznej wyższości nad

resztą towarzystwa. W nowoprzybyłym przedźj to drugie dało się dopatrzeć: w ułożeniu jego przebijają się cokolwiek dumy, jednak połączonej z pewną uprzejmą godnością, która waruje od ubliżenia innym. Po kilku krokach powitał stósownym ukłonem licznych do koła gości; a w téjże chwili poszedł ku niemu gospodarz domu, podał mu rękę, ścisnęli się wzajemnie.

— Wszak to dzień imienin Szanownego Pana? — pierwszy zaczął Machnicki.

— Tak jest — odpowiedział gospodarz — a dla mnie i stąd miły, że mogę powitać w moim domu, tak nam drogiego, a przecie tak rzadkiego gościa.

A dla mnie, rzekł Machnicki z zimnym, lekko szyderczym uśmiechem — stąd jeszcze miłszy, że mogę mu złożyć moje życzenia. Na ten raz jedno tylko wynurzę, abyś nigdy nie wyszedł źle na swoich żądaniach i zawsze więcej żądał dla drugich, jak dla siebie. Reszta na potem, bo zdaje mi się, że obiad czeka gości, a goście obiadu jeszcze bardziej.

Obecni temu, wszyscy prawie znali Machnickiego osobiście, oswojeni byli z tonem jego mów we wszystkim znajdowali pobudkę do uciechy, powyższe więc słowa tylko ich rozśmieszyły, jak zwyczajne głupstwo: może to było i konieczne w tych, którzy oddawna znali go waryatem i ostrzelali się z jego przecinkami, ale na mnie ta krótka scena zrobiła przeciwne całkiem wrażenie. Żaden ruch, żaden wyraz Machnickiego nie uszedł mojej uwagi, od czasu jak wstąpił do sali; i w niczem nie dostrzegłem owego okrzykanego obłąkania. Przeciwnie wszystko wprowadzało mię na uroczyste

stanowienie się nad nim, i podnosiło do wyższego stopnia ciekawość. Przypadek wygodził po części moim chęciom; zasiedliśmy do stołu prawie tuż na przeciw siebie. Ale długo nie mogłem z tego korzystać. Według zwyczaju mając wedle siebie sąsiadkę, miałem zarazem obowiązek służenia jój i bawienia. Niewiem jak dopełniałem téj powinności, ale to pewna, że byłem głównie zajęty Machnickim, tak, że wkrótce, przy całém roztargnieniu, mogłem sobie narysować zewnętrzny przynajmniej obraz jego fizygnomii.

Potrzeba sobie wyobrazić człowieka wzrostu więcej trochę niż miernego, postawy prostéj, budowy silnéj, bark szerokich, z doskonałą harmonią we wzajemnym do siebie stosunku wszystkich członków, jedném słowem człowieka dobrze i pięknie zbudowanego, któremu jednak zbywa na cokolwiek stósownej tuszy; przy takiej budowie wyobraźmy sobie ruchy swobodne, naturalne, zgrabne, często żywe, a zawsze miarkowane pewną godnością, pewną powagą mimowiestną, niewymuszoną, napiętnowaną charakterem dawno ustalonym. Miał około lat pięciudziesiąt. Pokazywały to i włosy w połowie siwe, i cała powierzchność twarzy. Mimo to odgadywałeś, że ta twarz była kiedyś ładna, chudość nie zepsuła jój owalu, nie zaostrzyła zbyt wiele rysów, a wydatniejszą zrobiła nos pociągły, z lekimi wypukłościami średniej chrząstki i końcowego zaokrąglenia. Nie była to jednak fizygnomia ludzi pospolitego rozumu i charakteru. Wpatrzywszy się w nią lepiej okiem znawcy, dostrzegłeś pod zwierchnią jój powłoką rysów połamanych przez uniesienia

namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha, jasno widziałeś w jęj głębi ruinę myśli, i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumy pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad niemi wyższości — uczucia. Najwyraźniejszym objawieniem tego smutnego stanu była dziwna ruchliwość oblicza. W chwili rozigrania, widziałeś tam na raz prawie kilka rozmaitych, najsprzeczniejszych wzruszeń, ale w każdym z nich było coś tak ślachetnego, że nawet w podobnym pasowaniu się z sobą, nie szpeciły twarzy, nie robiły na patrzącym przykrego wrażenia. To samo działa się w dużych siwych oczach: czasem błyskały one takim szczególnym spojrzeniem, że blask ich przechodził w dziką jaskrawość; ale i wtedy uderzała cię tylko jakaś energia duchowa, jakaś żywość myśli, które lubo gwałtownie przelatwały, znać jednak było, że nie przelatwały samopas, ulegały kierunkowi pewnej woli, i mimo przebłyskiwania, objawiały się silne, pełne i wykończone.

Widok téj twarzy w zupełnym uspokojeniu nie mniej był ciekawy: wszystko tedy oddychało w niej jakimś uczuciem wyższości nad przytomnemi, za nadto pewnej siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo, jakąś w rzeczy samej myślą panowania: na dnie błyszczała niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tém wszystkiém leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystej krepy, której wydatniejszymi fałdami były gesto przez pół siwe i ciemne włosy na czoło nasunione z pewnym zaniedbaniem,

i ciemniejsze jeszcze wielkie brwi nad okiem zwisłe. Głos jego był silny: dźwięczny, a obok tego czysty, przyjemny i łatwo gnący się do dźwięku wszelkiego uczucia.

W czasie tego obiadu, chociaż jadł bardzo skromnie, a pił jeszcze skromniej i to czystą wodę, mało się jednak odzywał, a zawsze zmuszony przez kogoś. Uważałem wtedy rzadką żywość i trafność w odpowiedziach, a w rozmowach tak krótszych jak dłuższych wielką łatwość i ślachtetność tłumaczenia się.

I tego jednak co mówił, nie mogłem po najwięcej części dosłyszeć, wciągany nieraz przez moją sąsiadkę do nowej rozmowy, którą przez grzeczność musiałem utrzymać. Wkrótce ciekawość zwrócona w inną stronę, przemogła nad grzecznością; mimo całego przymusu odpowiadałem niestósownie, albo wcale nie odpowiadałem. Dysharmonia między naszymi myślami była widoczna. Postrzegła wreszcie moja Pani to roz-targnienie; zrazu zaczęła żartobliwie napomyskać jego przyczynę, która kobiecie wydaje się jedyną i konieczną w mężczyźnie młodym i nieżonatym, w końcu, zwróciwszy się ku drugiemu sąsiadowi, zostawiła mi zupełną swobodę zajęcia się Machnickim. Byłem jój za bardzo wdzięczny, bo właśnie téjże chwili rozpoczęła się znowu scena, która przedmiot mojej ciekawości odsłoniła mi z innej strony ważniejszej niż jego powierzchowność.

Znajdował się w naszym towarzystwie pewien hrabia K Był to młody, dwudziesto kilka letni mężczyzna. Należał on z rzemiosła swojego, do rzędu

ludzi, znajomych rodzajowem pod nazwiskiem *przyjemnych trzpiotów*, jakich ma każdy kraj, każda prowincya, każda okolica, każde miasteczko, każda koterya, a których wartość gatunkowa odpowiada sferze, gdzie krążą wyłącznie. Hrabia K. był jednym z dowcipów podrzędniejszych, cyrkularnych. Nie przeszkadzało to jednak, że cały cyrkuł bawił się nim w najlepsze. Kobiety dobrego miejscowego tonu szalały za jego towarzystwem; młodzież, w pośredniej swojej części, naśladowała go w czém mogła; starsi i rozsądniejsi pobłażali, bo był hrabią i miał jaki taki mająteczek: zresztą był, jak to zowią, dobry chłopiec. Znał się na koniach i psach, strzelał celnie, jadł i pił o zakłady, śpiewał i gwizdał przy fortepianie, tańczył na zawołanie bez muzyki i pary, nie zostawił nikogo w spokoju, powolniejszym wręcz dokuczał, drażliwszych wydrzeźniał z tyłu, koniec końców błaznował, najczęściej kosztem tych, nad którymi przystawało raczej litować się; wszakże usprawiedliwiając go, potrzeba dodać, że przykry ten dowcip, miał źródło raczej w głupocie jak w złém sercu, raczej w zepsutym smaku towarzystwa, w którym żył, jak w skłonnościach wrodzonych. Wszedł on w nałóg złośliwego bawienia się, jak wchodzimy we wszelką rozpustę, przez poklask zepsutych. Dla podobnego człowieka, Machnicki albo, że użyję całego wyrażenia samegoż hrabiego, Król Machnicki, był to prawdziwie *królewski kąsek*.

Całe towarzystwo wiedziało o przygotowanym napa-
dzie na biednego waryata, czekało niecierpliwie, z nie-
licznym wyjątkiem, chwili starcia się dwóch takich za-

pańników, których już dla tego umieszczono przy stole obok siebie, i doczekało się nareszcie. Hrabia zaczął. Napelnił kielich winem, podniósł się, ułożył twarz figlarnie uroczyście i zawołał:

— Zdrowie Króla Odrzykońskiego! Oby jak najdłużej panował dla naszej radości, w takiej mądrości i sławie u świata, jak dotąd.

Znaleźli się, którzy odpowiedzieli na ten toast, inni którzy jeszcze zachychotali, inni wreszcie, którzy się zmarszczyli widoczném niezadowoleniem, do ostatnich i ja należałem; znam cześć dla gruzów umysłu ludzkiego jak dla wszelkich innych. Machnicki siedział nieruchomy, i byłby może takim pozostał, gdyby młodzik zdaleko swój żart posuwając, nie był go trącił w ramię i nie przemówił z drwiącym grymasem:

— Królu, ażaliż grzeczność nie znana w twojem państwie?

Dziwna zmiana chwilowa, jak błyskawica mignęła przez oblicze Machnickiego i zostawiła po sobie tylko chmurną powagę, nalał spokojnie swój kielich wodą, i przemówił nie wstając z siedzenia:

— Przyjmuję zdrowie Pana Hrabiego w ten sam sposób w jaki było wniesione, i mam sobie za powinność opłacić toast toastem, przemowę przemową, — Trzeba nam wiedzieć, moi Panowie, że są dwa rodzaje waryatów: jedni, których bardzo mało, wiedzą o swoim stanie, umieją go znosić i są tém, co właściwie zowią się waryatami: drudzy, z rozumem niedołężniejszym od waryacyi, sądzą, że mają najzdrowszy, ani na chwilę o tém nie wątpią, takich jest bardzo

a bardzo wiele, a nazwisko ich znajdzie Pan Hrabia w Słowniku swojej grzeczności. Pierwszym i wino nie zaszkodzi, to też ich zdrowie można pić winem; drugim pomaga niekiedy zimna woda, dla tego wodą piję twój toast Panie Hrabio! *Oby podobni tobie rozmnożyli się bez liku u naszych nieprzyjaciół!*

Toast Machnickiego wzbudził śmiech głośniejszy i powszechniejszy jak pierwój. Wielu cieszyło się kłopotem Hrabiatka tak samo, jak wprzody ostrym żartem z Machnickiego, inni zaś ze szczerzej przychylności ku sprawie zaczepionego. Wszakże ten usterk nie zraził jeszcze Hrabiego, przynajmniej umiał go pokryć głośnym śmiechem, chociaż widać było wymuszonym.

— Jak to Królu — zawołał, nachylając się uprzejmie ku Machnickiemu — tybyś miał się gniewać za życzenie, dalibóg serdeczne? Otóż dla prześlągania ciebie, chcę odtąd zostać najwierniejszym twoim poddanym.

— Przepraszam — odparł natychmiast Machnicki z niewzruszoną powagą: — Moją polityką jest, niecierpieć w mojem państwie większego odemnie Króla ma się rozumieć. Panie Hrabio, z twojem szlachetném usposobieniem prędkobyś mię z tronu zsadził.

Śmiech towarzystwa jeszcze się bardziej powiększył, czuł teraz Hrabia, że jego kosztem, że kosztem jego dowcipu, który się rozbił o głupstwo niby waryata i nie znalazł już mocy pokryć swojej przegranéj choćby udanym śmiechem, ale stracił do reszty przytomność dobrej myśli, kiedy Machnicki, który przez cały ten czas wpatrywał się w grę jego oblicza z zi-

mném szyderstwem politowania i wzgardy, zawołał ze swojej znów strony, jakby naśladując Hrabiego:

— Jakto? Panie Hrabio, ażaliż niema już dowcipu w twoim dowcipie? — a na zakończenie uderzywszy kielichem w kielich, który właśnie pomieszczany Hrabia niósł machinalnie do ust, zawołał: a więc zgoda dwóch półgłówków! Któż z nami, jeśli my przeciw sobie?

Żartowniś dobity tym ciosem, któremu nie przedstawiał towarzyszyć barbarzyński śmiech wielkiej części towarzystwa, byłby może wypadł z karbów okoliczności i szczerym gniewem wybuchnął, gdyby litość kilku roztropniejszych kobiet, zwykle przytomnych w podobnym razie, nie była nadała zabawie innego kierunku.

— Panie Machnicki — zawołała jedna z nich, zaimprowizuj nam cokolwiek z łaski swojej. Już tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć jego poezyi. Powiedz nam co wierszami.

Na ten głos Machnicki wrócił do zwyczajnej postawy przy stole, postawił spokojnie kielich i pojrzał do koła z taką twarzą, jak żeby nie było na nię przed chwilą żadnego wzruszenia, odezwał się tylko:

— Ma to być drugi akt komedyi! ale z uśmiechem więcej łagodnym jak szyderskim.

— Prosiemy!

Machnicki skinął ręką na ucieszenie.

— Z całego serca! — rzekł. — Wymawiam tylko sobie, aby nie miano do mnie żalu, gdyby jakim przypadkiem niepodobało się coś w moich wierszach komukolwiek. Państwo wiecie zapewne, że człowiek opętany natchnieniem Poety przestaje być sobą. Każdemu

z nas, jak tu jesteśmy, zdarza się, jeśli nie ciągle to przynajmniej codzień gadać nie wiedząc co gada, chociaż prozą; a coś dziwnego, że człowiek mówiący wierzącami i bez przygotowania nie jest czasem panem słów i myśli. Będę improwizował, jeżeli się naprzód zapewnię, o takim pobłażaniu:

Chętnie jałmużnę dajecie
Zebrząc o grosz niedoli,
Nie odmówcież dobrej woli,
Waryatowi Pocie.

Wszak to worka nie wysusza,

A skorzystać może dusza:

A czyja? zapewne wiecie.

Ze szczerą ciekawością wpatrywałem się w Machnickiego i chwytalem każde jego słowo. W rzeczy samej zdziwienie moje było nadspodziewane, nad ową łatwością wystowienia się i szybkością myśli, co tak przelatywała z jednego tonu w drugi. Znać w tém było nie tylko wprawę, ale swobodę ducha i władzę nad myślami, którą natchnienie tylko dać może. Nie mogłem wstrzymać się od pomyslenia w duchu: ten człowiek nie na waryata się rodził, a przynajmniej nie na zwyczajnego! Kiedy zaś umilkł na chwilę, jak żeby czekał od obecnych przytwierdzenia swoim słowom, zawolałem pierwszy, stosownie do ostatniego wiersza:

— Wiemy! wiemy! i z rozkoszą słuchamy dalej!
 Kilka już razy z powodu sceny poprzedzającej, dałem
 uczuć Machnickiemu swoją dla niego życzliwość, ale
 uważałem, że w téj chwili przyjął ją lepiej, niż kie-
 dykolwiek i mocniejszą zwrócił ku mnie uwagę.
 Wzrokiem szczególniej przenikliwym dłużej na mnie
 spoczął, jakby mię chciał zbadać na wskroś, a zna-
 laższy zapewne w mojem odezwaniu się szczerość,
 uśmiechnął się lekko, pewném zadowoleniem i uwa-
 żałem, że w ciągu dalszój improwizacyi na mnie opie-
 rał główne swoje wejrzenia. Tymczasem wziął w rę-
 kę próżny kielich i tak kończył:

Mamy dziś święto sąsiada!

Tak nam kalendarz powiada.

By nie zostać niegrzeczniejszym

Od samego kalendarza,

I długami serca dłużnym,

A więc przy święcie dzisiejszém

Piję zdrowie gospodarza,

A piję kielichem próżnym.

Jeśli próżny, mojaż wina?

Mój kraj pustka i ruina,

Bo mój kraj to serca wasze:

Zkądże wam napelnić czasę?

Czyż z méj duszy? na to zdrowie

Nikt mi pewno nie odpowie.

A chociażbym z niej i nalał,

Cóżby się stało z wami?

Każdyby jak ja oszalał

Lecz nagrodzę życzeniami.

O! życzeń tyle co nędzy,
 Wszystko zamknę w krótkim słowie,
 Obym pić mógł jak najprędzej
 Z pełnego dzisiaj zdrowie,
 A życzył rozumnie — w prozie —
 Na wszystkich świętych w obozie —
 Przy zastawie bojowiska,
 Śród prochu, ognia i dymu!
 Tak wam mówi król zamczyska:
 A co mówi to dla rymu.

Taka była improwizacya Machnickiego i z małemi zapewne odmianami, bo ją w téjże chwili odpisywałem. Jako poezya nie ma ona zapewne nic szczególnego, zwłaszcza w czytaniu; ale trzeba ją było słyszeć w ustach Machnickiego. Z żywym dźwiękiem jego głosu, ze szczerem uczuciem wezbranego serca. Nadto przy całym tonie ucinkowym i lekkim, niemożna jej zaprzeczyć pięknego głównego pomysłu i prawdy, lubo za cierpkiej, wszakże zawsze prawdy, a zwłaszcza dosyć zastosowanej do osób i okoliczności. Dla tego powszechnie zrobiła ona wrażenie; a to, którego ja doznałem, nie było najmniejsze. Kiedy więc inni podnieśli oklask i krzyk brawa, ja korzystając ze zgiełku, przechyliłem się przez stół ku Machnickiemu i szepnąłem półgłosem:

— Winszuję Panu nie rymu, ale sensu.

— Pan dostrzegłeś? — zapytał Machnicki.

— Bez trudu.

— Ale tego, oprócz Pana, nikt tu więcej nie powie.

— Bo niechce.

— Masz Pan słuszość. Udają, że się bawią waryatem: niby lepsi od niego. Smutna to rzecz jednak! — i westchnął głęboko. — Patrz, jaka uciecha z własnej hańby.

Rozmowę naszą przerwała kolej toastów, kończących obiad. Następnie muzyka wezwała do tańców. Powstano od stołu. Wszystkie moje chęci zmierzały do tego, żeby wejść w ściślejszą znajomość z Machnickim: szukałem go na wszystkie strony, niebawnie postrzegłem. O jednym widać myśleliśmy oba, gdyż pierwszy przystąpił do mnie. Byliśmy tylko we dwóch na ustroniu.

— Pan nie lubisz tańców? — zapytał mnie.

— Przeciwnie.

— A jednak nie tańczysz.

— Od jakiegoś czasu.

Ja się uśmiechnąłem, on zamyslił się na chwilę.

— Dobrze Pan robisz. Od jakiegoś czasu — a mówił to z wydatnym przyciskiem — niktby tańczyć nie powinien: ale poradź-że tu z tymi ludźmi!

Zatrzymał się znowu, zachmurzył się, po chwili przybrał twarz obojętną i obojętnie mnie zapytał:

— Pan zapewne z dalekich okolic?

— Tak, niedawno poznałem tutejsze.

— Niewiele zyskałeś.

— Przeciwnie, odpowiedziałem ze szczerą uprzejmością, — miałem przyjemność poznać Pana Machnickiego.

Pojrzał z niedowierzaniem.

— Ale ten Machnicki waryat!

— Nie dla mnie, jak dotąd, — odparłem z uśmiechem, a na dowód pokazałem mu odpis jego improwizacyi, — w tém przynajmniej widzę więcej, jak rozum pospolity.

— A u nich jednak to waryacya.

Po chwili nowego milczenia nagle zapytał:

— Widziałeś Pan zamek odrzykoński?

— Zdaleka.

— Więc musisz tu być bardzo niedawno?

— Od tygodnia.

Na tę odpowiedź postrzegłem niezadowolenie w twarzy Machnickiego.

— Jak to? od tygodnia tu być i nie poznać zamku! To jednak tak blisko! A choćby i najdalej? Drugiego takiego miejsca nie ma na ziemi. Powinniśmy do niego pielgrzymować, jak Muzułmanie do grobu proroka.

Mówiąc to, podnosił głos coraz wyżej, ruchy ciała ożywiały się, na twarz występował dziwny, wewnętrzny płomień; po raz pierwszy postrzegłem w nim obłąkanie.

Wymawiałem się jednak szczerze, przeszkodami niezależnemi odemnie, jak było w istocie. Machnicki słuchał niecierpliwie, gotował się widać do nowego uniesienia, kiedy wpadła pomiędzy nas trzecia osoba. Machnicki zwrócił się nagle i odszedł. Widziałem go jeszcze raz z daleka, zdawało się, że chciał znowu mnie spotkać i mówić i widać było, że się wahał: wkrótce straciłem go całkiem z oczu: jakoż powiedziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie. Było to nad moje spodziewanie: mocno żałowałem, że puścił mimo tak dogodną zręczność lepszego zbadania téj szczególnéj istoty. Nie pozostało mi teraz, jak szukać go w zameczysku: i na to przeznaczyłem nieodmiennie dzień następujący.



Wymawiałem się jednak szczerze, przeskakując
niezależnie od niego, jak było w istocie. Miałem
stuchając niecierpliwie, zadowalać się widzieć do nowego
uniżenia, kiedy woda pomogła nam trwać osada.
Miałem się zwrócić się nagle i odwrócić. Widziałem go
jeszcze raz z dala, zbawiać się, że chciał znów
mnie spotkać i mówić i widzieć było, że się wahał:
wtedy straciłem go całkiem z oczu: jakże, powie-
dziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie.
Było to nad moje spodziewanie: mocno żałowałem,
żem puścił mimo tak bogatą i ciekawą osobę zba-
dania tej niezwykłej istoty. Nie pozostało mi teraz
jak szukać go w zamieszku: i na to przeznaczylem
nieodwołalnie dzień następujący.



III.

Zamczysko odrzykońskie.

III.

Wamcysko odzyskane.

była duszę, nagle przeszła się rozciągnęła i zamiek w ca-
 (ty) grobowej okazałości stał przedemną.

Kto będe się rozwołał, z jakim uniesieniem po-
 witałem ten widok, nie będę opisywał wrażeń, które
 zrobił na mnie pierwszy przebieg tego ogromu gru-
 zów: tam, gdzie każda sciana, każdy kąt, każdy ka-
 mień, każdy krok wyprowadzał czarnobajską rozszala-
 z moją duszę nowy coraz potok uczuć i marzeń, a
 twierdził mi nowe światy, szeregłowy opis byłby może
 za mało dostateczny, a co pewniejsza, niepodobny do wy-
 konania. Błogosławieństwo, co tam binięcej powieści

III.

ZAMCZYSKO ODRZYKOŃSKIE.

Nazajutrz ledwie dzień zaświtał, byłem już w po-
 droży do zamczyska, bo chciałem razem z niém wschód
 słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko
 może być poranek majowy i pogodny, po tylu dniach
 nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę po-
 między sadami lub lasami. Oko w każdym kierunku
 odpoczywało na śniegach drzew rozkwiecionych; wszy-
 stkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona sza-
 ta okolicy srebrzyła się perlami rosy. Niewysłowiona,
 czarująca świeżość, jak swoboda lat młodości, prze-
 nikająca i zachwycała duszę, grała we wszystkie
 zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejsza, las cie-
 mniejszy, skały gościół szarzeją, dzikość pustyni coraz
 wyraźniej czuć się daje, urok miejsca coraz silniej pod-

bija duszę, nagle puszcza się rozstąpiła i zamek w całej grobowej okazałości stanął przedemną.

Nie będę się rozwodził, z jakim uniesieniem powitałem ten widok, nie będę opisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów: tam, gdzie każda ściana, każdy zakąt, każdy kamień, każdy krok wyprowadzały czarodziejską różdżką z mojej duszy nowy coraz potok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może zanadto nużący, a co pewniejsza, niepodobny do wykonania. Dodam nadto, że celem niniejszej powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną jej osobą nie ja, lecz król zameczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na którémby przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiej, jak najdobitniej. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne, rzucić kilka zarysów ogólnych zameczyska i jego okolic.

Zamek Odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra należąca do łańcucha jednej z Karpackich odnog, okryta świerkowemi lasami, jak cały szereg jej rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jej wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnemi bryłami głazów, pomiędzy któremi rosną pomieszane brzozy, sosny, buki, a z drobniejszych krzewów, głóg, jałowice, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największej czę-

ści wygląda jak mogiła gruzów, jednakże znaczna część murów, zwłaszcza zewnętrznych, stoi dotąd nieporuszone. Najwyższa część zamku, zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostej, równoległa niemal do południowej, kąty innych części są w rozmaitej wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwałisk, inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszém opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrówką i szybkim, a trudnym przegłędem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, czułem nakoniec potrzebę wytchnienia. Obrałem na to miejsce, z kądem mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszej okolicy: i w samej rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególniej od południa i zachodu. Z jednej strony padół zaledwie obejrzany, zasiany miasteczkami i wsiami, pocieniony lasami, przepasany łożem Wisłoka, z drugiej zaś pasmo Karpat rozłożyło się przed mojem okiem bez żadnej zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknnością tego obrazu: wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach, zwiastując słońce; ku wschodniej więc stronie zwróciłem oczy.

Po chwili i słońce zjawiać się poczęło w grubej chmurze, jakby go noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała; chmury w prawdzie opadły i rozpierchły się, a słońce zabłyśło od razu w całym bla-

sku, ale był to blask zawczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia deszcz zapowiada, blask oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśniej szczęściem, kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przecucie boleści.

Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody zwanéj martwą, ze stanem duszy ludzkiej. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie; rzekłbyś, że chcą napatrzeć się sobie, zaczęły mrok chmury rozłączyć: kwiaty mocniej wonieją, jak żeby spieszyły się z daniną kadzidła krótkim chwilom pogody: mimo godziny porannej zaduch południa; mimo przepychu światła jakaś w nim melancholia, jakiś brak, coś nakształt owéj niepojętej tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojej pociechy znaleźć nie umie.

Takie było oblicze owego poranku: nieznacznie mimowiestnie wpływ jego i mnie ogarnął, tém łatwiej, że mię usposabiał do rozrzewinienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przegrywką odzywało się z razu po stronach duszy, zwolna ułożyło się w piosenkę mniej więcej wyraźną, aż nastrawiwszy do swego tonu czucia i myśli, wylało się na papier w następnym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin kochanku,

Jaki cię smutek naciska?

Aniół przeszłości, aniół poranku

Spotkały się u zwałisk.

Widzę w objęciu nadziemską parę;
 Widzę ich dwa widma chmurne,
 Jak razem płaczą, jak leż ofiarę
 Kładną, razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą
 I zajęczał im w podzięce;
 Słyszę jęk jego, jak dzikie echo,
 Po bolesnej gór piosence.

Wciąż koniec śpiewa. Kiedyż pieśń nowa
 Rozpocznie się przez kwilenie
 Nowych narodzin? Paro duchowa
 Daj mi przyszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższej dumki, kiedy usłyszałem za sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać było zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały: wszakże strój osobliwy szczególniej mię uderzył. Suknie schodzone cokolwiek, były jednak porządne i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomięszanego umysłu; za to szersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych na pół rozwiniętym kwiatem, gałązka świerku sterczyła zamiast kity, piersi całe okryte było to rozmaitemi kwiatkami polnemi, to liśćmi, w rękę trzymał kość z ręki ludzkiej, jak mi się widziało na pierwsze wejrzenie. Ten strój tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mogłem go od razu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie nie całkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że

jakiś czas byłem jakby pomieszany: i nie wiedziałbym od czego zacząć rozmowę, gdybym się nie upewnił w téjże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie; w jakiej go postrzegłem: z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu; z wolna podniósł nad głowę kość, którą trzymał i uroczystym przeciągał głosem: anioł przeszłości, anioł poranku, spotkały się u zwałiska!

Zamilkł, zniżył kość z tą samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie, i rzekł niezmieniając wyrazu twarzy:

— Ja, król Odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, a przód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hold złożył mojemu królestwu; biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojej dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tém mojem berłem, a teraz . . . — zmienił nagle twarz, i z uprzejmym uśmiechem uściśnął serdecznie moję rękę — a teraz witam jako brat brata, a przedewszystkiém najmocniém przepraszam, jeżeli mojem nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia. — Podobne chwile są nieopłacone i ja znam ich wartość i ja także jestem poetą. Szczerze więc przepraszam. — Ja to pierwszy powinienem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego państwo, — odpowiedziałem, stosując się do królewskiej Machnickiego roli. — Z téj strony, bądź spokojny — rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością — już po wczorajszém

poznanie, chociaż dalekiem, serce moje przychyliło się ku niemu; życzyłem sobie jego odwiedzin: z razu chciałem mu to oświadczyć, rozważywszy, zaniechałem. Cobym mówił z pełności serca, toby wzięto za wybryk waryata. Mniejsza o mnie, ale część mojej śmieśności i na niego by spadła. Pan znasz świat — znasz wczorajsze towarzystwo — wiesz jak mnie uważają, wiesz to dobrze — niech to pana nie mięsza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najczulsze z ich serc — ten kwiatek przekwitły więcej ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. — Wolę tym gruzom królować. Z tém wszystkiém nie są oni najgorsi. O! daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług ich rozumu, ale waryaci. Mógłbym być ich królem i nie chciałem. — Dla czego? jak? Kiedy się lepiej poznamy, sam przyznasz mi słusność. Ale zostawmy to na później. Obyczajem świata zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrówki prześliczną chwilę, tylko niepewną.

— Bardzo tego żałuję — odpowiedziałem — widoki cudne: potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się nimi nasycić.

— Masz pan słusność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało, cóż gdybyś pan duszę zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Geniusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko że to jest tajemnica, wielka

zaklęta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod bokiemy tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwej wartości. Gruzy i gruzy! powiadają oni; stare, okazałe, to prawda, ale nie więcej, tylko gruzy jakiegoś zamku. A ja Pan powiadam, że te gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było podnieść ich zasłonę, świat z boleści wziąłby się za włosy; zobaczyłby pod niemi przestrzeń pustyni większej jak Sahara, w każdym kamieniu trupa, w każdej warstwie muru pokolenia wymordowane, zobaczyłby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie musiałby zgadywać; wieża Sennaru pigmejczyk przed niemi. Jest coś jak majestat narodu.

— Wierzę panu. — Nie dziwiłbym się, gdybyś nie wierzył; za krótko jesteśmy z sobą. Ale później, może, tu zatrzymał się i nagle przeszedł z widocznym umysłem do innego przedmiotu. — Podstuchiłem wiersz pana. Nie przepraszam go za to. Wszak jestem tu królem: mam prawo i powinność, wszystko widzieć i słyszeć, co się w mojem państwie dzieje. Nie powinienesz urażać się o to; nie straciłeś pan na mojej ciekawości. Z tej jednej chwili poznałem go lepiej, niż gdybyśmy sto imienin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo... nagle zatrzymał się i patrzył mi w oczy długo okiem, ani na chwilę niezmrużoném, bystrém, przenikającym duszę w różnych kierunkach, zawołał

potém: tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa, objaśnię go, o ile mi wolno.

Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów: — ten zamek — rzekłem — Firléj podobno założył za panowania któregoś z Zygmuntów.

— Firléj! Zygmunt! — powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu — bajki! ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaznych roznieślioby je natychmiast — o! mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych — muszę być ostróżnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędziliby wszystkie półki piekielne, aby ich ślady nawet zadeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? muszę dyplomatyżować.

W tém miejscu muszę przyznać czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiego za zwyczajnego obłąkańca i stósownie téż przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się, nie przerywały głównego ciągu mojej myśli, nie psuły szyku zapytań, które podobny przedmiot nastręczał, na które przedewszystkiém chciałem mieć odpowiedź, dla tego mówiłem dalej:

— Powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną?

Machnicki milczał.

— Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? postawiano kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi, jeszcze przed laty kilką były tu komnaty zupełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy?

Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniej zachmurzał, czasem wyrzekł — tak — lub nie — porwał się potem z miejsca i zawołał:

— Po mojem królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców. Są pewne formy, których nie wolno przełamać. Chodź pan za mną — niebo coraz się bardziej zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody.

Przyszliśmy tedy pod jedną wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznej wysokości.

— Masz pan mocną głowę? umiesz drapać się po murach? wejdziemy na tę wieżę.

Zmierzyłem, opatrzyłem ją i widziałem, że po jej szczerbach, jak po schodach można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadzwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska wyżej niż wierzchołki drzew okolicznych, z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony.

— Co za widok! — zawołałem — sędzę, że promień jego ma przynajmniej kilka mil długości.

— Kilka mil! — powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy i to poeta tak się wyraża? poeta tyle tylko wie? A ja, kiedy tu wejdę, kiedy położę oko na tych górach i tracę je myślą, wnet lecę

chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, o-
cieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr,
biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dzwina
przechodzę do Bałtyckiego morza, płynę ja-
kiś czas morzem, zawijam w ujście Odry i po-
nad Odrą wpadam znowu na Karpaty; a zawsze
pilnując się krawędzi tego horyzontu. — Rozumiesz
mię pan?

— Nie wiem, czy tyle, ilebyś pan chciał być zro-
zumianym.

W tej chwili na twarzy Machnickiego objawiała
się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak żeby słowa
ogromnego znaczenia darły się do ust, a myśl tajemnicy
gwałtem je zatrzymała.

— Nie, nie! — zawołał w końcu — lepiej być
niepojętym, jak narażonym na zdradę.

Wnet postrzegłem się, że wybuchnął z czemś nie-
właściwem, z wrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za
rękę i pytał:

— Co ja powiedziałem? może niedorzeczność. Prze-
bacz pan! — wszak wiesz, że waryat — i ja to wiem.
Ja sam często postrzegam, że mi się wymknie słowo,
ni przyszył, ni przytątał, jak powiadają. To waryacya,
waryacya! Ale to nie waryacya, że potrzeba tak wi-
dzieć, jak ja widzę z tego miejsca, aby je pojąć. Wte-
dy dopiero widziałbyś pan, jak przyjmować powszednie
bajeczki, które mu naklektano. Chodźmy ztąd.

Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez
ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnic-
kiego, mniemałem dostrzedz w nim przeważający ży-

wioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował nad tém silniej i stał się dla jego duszy szkłem optyczném, pokazującym jój cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywisty; widziałem, że go razila moja prozaiczna szczerota, od tąd więc postanowiłem być z nim poetą. W tém zamysleniu postępowałem w głąb zwalisk, kiedy Machnicki wstrzymał mię:

— Za pozwoleniem! — rzekł — panu wolno tu błądzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja, przeszłości nie widzisz tu, jak ja, jój śladów; ciężkobym przewinił, żebym się ich nie trzymał; okropniebym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojej kary? pojrzyj na te miliony do koła. Zresztą jako król mam także moje dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę.

Zwróciliśmy się więc nazad, w kierunku południa i wyszliśmy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki pod prowadził mię ku niemu i rzekł:

— Przedewszystkiém cześć grobom! Tu pod tym kamieniem leży ostatnie półtora wieku. Olbrzymie zwłoki! nie prawdaż? Kto nad nimi nie pomódli się, ten jak niegodny, nie poświęcony wchodzi do tego zamku, do całej przyszłości — po czém zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak, żebym to samo zrobił, w opatrzył się w kamień, nieznacznie twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała, mimo to rżęsno żył posy-

pały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną przemawiały te słowa:

— Każesz! słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarno, z ziarnka strzela drzewo — tak Karpaty lasami porosły: tak ty grób porośniesz nowém życiem. Płyńcie łzy! policzą was kiedyś, zapłacą!

Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia, powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał na mnie, i obcierając ślady łez, zapytał:

— Plakałem? Nie dziw się pan — ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroxyzm wariacyi? powiedzą sąsiedzi: nie prawdaż? O, gdyby każdy z nich miewał podobny przynajmniej raz, z rana, a raz na w wieczór, ten zamek stałby jeszcze cały, a przynajmniej już odbudowany. Widzisz pan do koła te glazy? Wszystko to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje, leżą pod niemi. Ten na boku na przykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską . . .

Ale za moło dziś czasu na obejrzenie całego cmentarza, burza nam przeszkodzi.

W samą rzecz, im wyżej słońce się podnosiło, tém większy zaduch napełniał powietrze, chmury gęstniały i grzmot burzy co chwila groził.

Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz! — rzekł Machnicki i szedł przodem.

Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła na prawdę w poetyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się zanadto może jaskrawo, była nią jednak, i przypłynęła do mojej fantazyi, pozwólmy, że jak technicznie zarazy. Owo przeobrażenie głazów prostych w podobne nagrobki, zdało mi się być pomysłem tak pięknym, otwierało takie pole fantazyi, że mimowiadnie wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami; ściany się podniosły w rozgrody pokoiów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie kurytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwemi szybami, cały gmach odetchnął przeszłym życiem, w każdej części zmartwychstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmotu, było to echo naszego stąpania po brzmiających posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą, są, którzy je pojma, krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedy ujrzałem w jednym oknie rosnącą brzoźkę. Jój korzeń trzymał się wewnętrz nego gzymsu, a wierzchołek na zewnątrz za okno wychodził, gałęzie wisały tak posępnie, biała kora tak żywo przypominała biały strój kobiety, że mimowolnie zawołałem:

Jaka smutna! Jak gdyby wyglądała kochanka! Biedna.

— Kto taki? — zapytał mnie zdumiony Machnicki.

Postrzegłem się, odpowiedziałem więc uśmiechając się:

— Nie! nie! przewidzenie! nie więcej; nagle po wtórném zapytaniem, wyznałem, że w brzozie wyobraziłem sobie dziewicę.

— Cyt! — rzekł z cicha — wyjdźmy ztąd.

Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał:

— To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu łaska grobu z panem. Czy wiesz kogo widziałeś? — zapytał uspokoiwszy się nieco. — To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszej chwili jęj życia. Serce jęj rozdarło najboleśniejszą raną. W jedną stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustała. Wygląda z trwogą przybycia Jagiełły; przyjmuje go jak męża i pana, ale łyzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy, kto ją widział w tęg chwili, choć raz w życiu; widział on tryumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała, spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciej będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściej przedstawia się jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko było gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie wierz temu i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała. Wiem to z ust własnych.

— Pan z nią rozmawiasz?

— Czy ja z nią rozmawiam! A po cóż byłbym królem tego zamku? Jeżeli w nim żyje, to dla tego, że i on żyje. Nie tu nie ma, cohy nie żyło dla mnie, cohy

ze mną nie rozmawiało! O! jak mię nieraz bawia, a najczęściej gniewają ci powszedni ludzie, którzy tu czasem nie wiem po co przychodzą. Dla nich to drzewa, kwiaty, murawa, nie więcej, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg o-
tworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowałiby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpać po tej murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie; i przez całe życie nie napatrzyliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu dzieje.

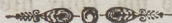
Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku, powietrze całkiem zciemniało, grzmoty i błyski coraz bliżej się objawiały i wiatr z niezwykłą się podniósł gwałtownością. Nie spodziewając się takiej i tak prędkiej nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia; począłem więc być niespokojny i zapytałem Machnickiego, czy nie wie gdzie bliskiej chaty, w którejbym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy.

— Bądź pan spokojny! — odpowiedział — jestem królem w mojem państwie: wszystko już obmyślone. Nie każdemu bym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojej gościnności, pod jednym warunkiem.

— Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu, w którym się schronimy.

Dałem słowo z chęcią.

— Chodź pan za mną.



IV.

Podziemie.

VI

Bohemic.

— Taka jest praca mojej siostry — rzekł Machnicki. — Idź pan za mną, trzymaj się ściśnięty, a pamiataj, że mamy przed sobą dwaście schodów. Schodów, trzymając się kłód przewodnika, mając ściśniętą i licząc stopnie. Schody były wygodne, szły pod ziemią tak wąską, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc schodów. Na dwadzieścia stopni zatrzymaliśmy się; Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę stojąc w małej komnacie, jakby umyślnie na to wykuł, i przemówił: — To pierwszy dzień mojego palenia; coż my-
śleć o nim?

PODZIEMIE.

Bwiązany słowem daném przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tém miejscu przerwę opowiadania, której może nigdy nie zapelnę. Wolno mi tylko powiedzieć, że nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymaliśmy się nad głazem znacznej wielkości. Machnicki zlecił mi obejrzeć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego, a kiedy to dopełniwszy, zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór pod ziemią. — Spuszczaj się prędko — zawołał.

Zrobiłem jak kazał, on skoczył za mną; w okamgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnej ciemności.

— Taka jest brama mojej stolicy — rzekł Machnicki. — Idź pan za mną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów.

Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopnie. Schody były wygodne, szyja podziemia tak wąska, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się: Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę stojącą w malłej framudze, jakby umyślnie na to wykutęj, i przemówił:

— To pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim?

Powiodłem okiem do koła i widziałem niekształtną jaskinię obszerności tak nieznacznej, że jeden rzut oka z któregokolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabém jak blask lampy. W utworzeniu jej nie widać było śladu sztuki: pod ścianami stały lub leżały ludzkie kości; na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych mocno zardzewiałych.

— Zapewne to straż palacowa? rzekłem.

Machnicki potwierdził mój domysł skinieniem głowy. Głównie jendak zwróciły moją uwagę drzwi dosyc wielkie, żelazem pokryte, leżące po lewej ręce naszego wchodu.

— A to musi być wejście do podziemnego przechodu, o którym powiadają, że się aż pod Krosno ciągnie?

— Może i dalej — odpowiedział Machnicki obojętnie.

Po krótkim zatrzymaniu się, przystąpił do innych drzwi podobnych pierwszemu, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mię o kilka stopni

niżej, do innej jaskini obszerniejszej, nierównie, niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że to było, jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków; jeszcze wisały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach wpuszczanych w kamień na ołów. Machnicki nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedne zlicznych drzwi pobocznych, wprowadził mnie do nowej kryjówki z tajemniczym milczeniem, zapuścił w jej głębie wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur.

Mimowolny dreszcz przebiegł ciałem, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drzwi jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą, jak czarna zasłona, a tłem jej przesuwwały się w ognistém malowidle sceny tyranii, jakich kiedykolwiek naczytałem się lub nasłuchiwałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia przerażona ich widokiem utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało na raz we wszystkie zmysły, w powietrzu uczułem duszącą woń trupiej zgnilizny, każde uderzenie stopy o twardą posadzkę odbite echem jaskini, zamieniło się w jęk przeciągły, ciemność i światło lampy, połamane wzajemną walką, wyglądały z poza kolumn samorodnych i z załomów skalistej ściany, postaciami ofiar mniej więcej wyraźnemi, blademi: jak żyje nie miałem podobnego widzenia. Machnicki stał ciągle w izbie tortur: szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrawszy przed nami nowe drzwi na pół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego. — O! nie — odezwał się

Machnicki głosem uroczystym — z tego miejsca nie było i nie ma wyjścia, chyba tamtędy.

Na tych słowach otworzył do reszty drzwi uchylone i wskazał za nimi stós kości w dole, a w górze wąski otwór, przez który w padało cokolwiek dniowego światła:

— Jest to cmentarz więzienia!

— Wychodźmy stąd! — zawołałem z niecierpliwością — wychodźmy, którydykolwiek, byleśmy wyszli — i drząc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem w tył Machnickiego.

On przeciwnie miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwiał we mnie przenikające oczy, i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywieszając do nich większą wagę.

— Tak, jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne, okropniejsze może niż ci się wydaje, bo nie widzisz w nim nic więcej nad więzienie zamku, a ja... ja coś więcej tu widzę. Jestem jednak spokojny, przynajmniej taki jak zawsze, a ty drzysz, jesteś cały zmieniony. Dziwi mnie to. Cóż lepszego twój świat w którym żyjesz? O rozumni ludzie, jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun, i nie uderzysz ich zmysłów jak piorunem. We wszystkich zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, któraby swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w mikroskopie jednej myśli, jednego uczucia. Daj mu za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolne-

go; morduj około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy, jak w raju. Dopiero kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz, oto twój świat, oto twoje życie, dopiero wtedy ocknie się, zadrzy, jakby mu powiedziano, coś nowego; i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku? silnych zmysłów? a ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołężnej myli, skrepowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych, nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz, i nie nauczysz drugih nic szlachetnego, nic wzniosłego.

Zatrzymał się chwilę, a zmieniając nagle ton głosu i cały wyraz w łagodniejszy:

— Przebacz! — zawołał — przebacz waryatowi to kazanie. Nie do ciebie ono wymierzone. Nie kładę ciebie w równi z resztą ludzi. Dałeś mi już nie jeden dowód, że dusza twoja ma widzenie silniejsze, rozleglejsze: nie jest na łasce zmysłów. Gadałem sobie ot tak! z potrzeby wygadania się, w chęci jak najbliższego poznania się z tobą; gadałem, bo to jest roskosz pomówić z człowiekiem, który nasz język rozumie. — Teraz pójdziemy dalej.

Mimo wszystkiego, co Machnicki dopiero powiedział, opuściłem więzienie z prawdziwą przyjemnością.

— Wróciliśmy drogą, którąśmy przyszli. Zatrzymaliśmy się znowu w jaskini wyższej, przededrzwiami, o któ-

rych już wspomniałem, a które według wszelkiego podobieństwa zamykały podziemną wycieczkę z zamku na zewnątrz.

Drzwi były mocne i ciężkie; z głuchem zgrzytem ustąpiły pod Machnickiego ręką i odsłoniły nam nowy kurytarz dosyć przestronny, przykro w pół spadający; jakoż po kilku krokach zaczął się nowy szereg stopni prowadzących coraz głębiej. Skracając o ile można i trzeba opowiadanie, namienię tylko, że przebyliśmy pięć czy sześć jaskiń rozmaitej wielkości i tyleż pięter schodów mniej więcej licznych. Głębokości, w jakiej byliśmy, po niczem zmiarkować nie mogłem, zdawała mi się jednak ogromną. Szliśmy ciągle podziemiem skalistém. W niektórych miejscach ślad ręki ludzkiej był widoczny, częściej samorodna objawiała się przyroda. Uważałem czasem mniej więcej obszerne w ścianach otwory, z których domyslałem się różnokierunkowych rozgałęzień tegoż samego przechodu. Szliśmy w takiém milczeniu, że przewodnik nie odpowiedział nawet na kilka zapytań, które mu w ciągu tej wędrówki zrobiłem. Było w tém milczeniu coś uroczego.

W dziwny téż stan przechodziły wyobraźnia, dusza i wszystkie moje władze: kto nie był w podobném położeniu, ten nie zdoła utworzyć sobie jego pojęcia. Na to potrzeba znajdować się o sto przynajmniej sążni pod ziemią, wśród skał nagich, dzikich, jednostajnych, ze spomnieniami tylko dniowego światła i żyjącej przyrody, w ciszy tak zupełnej, że odgłos burzy nieustannie piorunującej i z całą potęgą, wyraźny z początku, glu-

chnąc stopniami, objawiał się teraz jedynie w ciągłym prawie drzeniu ziemi i dziwnym jakimś brzęku głazów, którego po żadnym wiadomym nam dźwięku, wyobrazić sobie nie można. Nie pojmowałem równie, dla czego mimo większej coraz głębokości odgłos ten zamieniał się w coraz wyraźniejszy huk piorunów. Nagle huk ten rozległ się grzmotem tak silnym, jak żebyśmy zwyczajną tylko ścianą przedzieleni byli od reszty świata.

Machnicki zatrzymał się, w twarzy jego ujrzałem podniesienie ducha promieniące na tle pogodnego, cięchego zadowolenia, a w całej postawie coś tryumfalnego.

— Słyszałeś ten piorun? — zapytał mnie.

— Słyszałem.

— Wiesz co on znaczy?

Odpowiedź w duchu zapytującego nie łatwa była. Machnicki, bądź widząc mój kłopot, bądź przez zwykłą sobie żywość, która często nasuwała mu rozwiązanie własnych jego zapytań, przyszedł mi teraz w pomoc.

— To strzał powitania! — odpowiedział — powitanie królewskie, nie prawdaż? A tę niespodziankę winien jestem mojemu gościowi — tak, tobie, ja na ten raz jestem ja winien, mój gościu szanowny! — dodał, ściskając mnie serdecznie za rękę. Za chwilę sam to pojmiesz.

Po tych słowach postąpiliśmy naprzód kilka kroków, stanęliśmy przed niewielkimi drzwiami; Machnicki otworzył je lekkiem ku sobie pociągnięciem i wprowadził mnie do nowej jaskini.

Tu obracając się do mnie, rzekł z pewną urzędową powagą.

— Nakoniec jesteśmy u celu naszej wędrówki. Otóż i stolica króla zamczyńska. Stolica, pałac, więzienie, piekło, raj, co chcesz. Ale o to mniejsza, dosyć, że cię witam, w téj chwili jak gospodarz gościa, jak brat brata; powitanie królewskie na później zostawimy. Jesteś znużony, nie prawdaż? odbyłeś przechadzkę mordującą, pora późna, lekki posiłek nie zawadzi, wszak tak? pozwolisz więc, że zacznę od ugoszczenia podróżnego. Gościnność to enota naszych przodków rodzimay, wielka, święta, jeden z klejnotów domowego ich życia. Znam całą wartość podobnych skarbów; nie pozbyłbym się najlichszego z nich za nic w świecie: to podstawa publicznej narodowej potęgi. A jeżeli kto, to król powinien dawać przykład troskliwości o nie. Siadaj więc i spocznij. Albo lepiej, zostawiam ci zupełną wolność. Jesteś zapewne ciekawy, rozpatrzyć się w moim pałacu. Rób, co ci się podoba, ja tymczasem zajmę się posiłkiem.

To pozwolenie było mi bardzo na rękę. — Pałac Machnickiego, jak go nazwał, zasługiwał ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie się, sądzę nawet, że rysem jego dogodzę potrzebie czytelników, którzyby mieli dłuższą cierpliwość towarzyszyć, aż do końca mojemu pobytowi z Machnickim.

Jaskinia ta była obszerniejsza, jak wszystkie zwiedzone dotąd, miała ona kształt wielokąta okrągłego, około pięćdziesięciu stóp obwodu, ile od oka sądzić mógłem. Do téj budowy wchodziły dwa ogromne gła-

zy, poziomo względem siebie leżące; niższa główna część pieczary wykuta była w głazie spódnim, wierchni zaś wyżłobiony wklęsło, otworzył sklepienie; rozdzielała je szeroka szczelina opasująca niby gzymsem całą jaskinię. Szczelina ta, w stronie przeciwległej drzwiom wchodowym, rozszerzona sztuką w okrągłe otwory, a z resztą założona kamieniami, zamieniała się w samorodne okna, które przez swój kształt lekko wybiegające na zewnątrz jaskini, dawały swobodny widok na ogromne płaszczyzny u stóp zamkowej góry leżące, i wpuszczały wewnątrz tyle dniowego światła, ile go potrzeba było, aby się obejść bez sztucznego oświecenia. Dotąd dwa takie okna widziałem; za ich pomocą przekonałem się, że góra z téj strony zbiegała urwisto do dołu. Wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie pieczary dziwny miało pozór: ściany, sklepienia, posadzka nawet były mchem nałożone tak grubo, że widok głazu ginął pod nim zupełnie. Kątowość ich obwodu tworzyła kilkanaście ścian, z których co druga ściana wyrobiona była w głęboką framugę. Ściany wystające ozdobione trofeami ze strzał, mieczów, strzelb, pancerzy i innej broni, bądź dawniej, bądź nowszej, tak, że to ubranie dawało pieczarze pozór zbrojowni, a przynajmniej jakiegoś muzeum rycerskiego; gdzie niegdzie wisały herby kamienne, ocalone widać resztki z gruzów zameczyska, kilka starych portretów, a nawet kości ludzkie pomieszczane w trofea broni. Szczelinę o której w spomnianem wyżej, że opasywała pieczarę nakształt gzymsu, przyozdabiał łańcuch kul rozmaitej wielkości, poprzerwany w odstępach wymierzonych trupiemi gło-

wami, co wszystko razem dziwne przedstawiało widok i niepojęte robiło wrażenie. Za ramy do framug służyły pęki młodych drzewek: każdy pęk przewiązany w połowie swojej wysokości, rozdzielał się od przewiązki na dwie części, i wierzchołkami ich łączył się na obie strony. Z pękiem najbliższym, w tenże sposób urządzonym, tworzył się ztąd do koła pieczary szereg kolumn i łuków gotyckich. Nad to pod każdą ścianą były wygodne siedzenia z kamieniami jednorodnego ze ścianami. Framugi zasłonięte makatami i adamaszkami, ocalone miały widać szczątkami zamkowych obić.

Najmocniej zajęła mnie framuga na proste drzwi wchodowych leżąca. Po obu stronach jej otworu stały dwa szkielety, odziane całkowitem ubrojeniem dawnych husarzy, z kópiami tak nachylenymi ku sobie, że proporce ich zwisały aż do ziemi, układały się w rodzaj zastony. Nad wnijściem wisiab rozpięty orzeł rzeczywiście.

Idąc od tego miejsca ku drzwiom lewą stroną pieczary, w najpierwszej z porządku framudze, znajdował się mały księgozbiór; składał się on z kilku set książek, między którymi największa część, jak mi się zdawało, starych kronik; na środku stał stolik do pisania z całym stósownym przyborem i wygodnym staroświeckim krzesłem. Sam stolik roboty prostej, ale dosyć starannie ogładzony, leżał na czterech klockach, korą odkrytych, po dwa w głośkę X związanych; a tak był ustawiony pod jednem ze wspomnianych okien, że pasmo światła, jak raz na niego padało i pracującego przy nim oświecało dostatecznie. Na stole leżała ogromna

księga, w większej połowie zapisana. W następnej framudze była sypialnia Machnickiego: za łóżko służyła ogromna kamienna płyta, wzniesiona o pół łokcia nad posadzkę, i grubo mchem usłana; pościel zaś składała się z łośiej skóry, poduszki skórzanéj i koca do przykrywania. Co się tyczy innych framug, wszystkie prawie służyły za skład jakiś: i tak jedna zapelniona była materiałami potrzebnymi do stolarki, ślusarki, i szewstwa, krawiectwa, w drugiej złożone były stósownie do różnych rzemiosł narzędzia, jako to siekiery, heble, pilki; w dalszych mieściła się spiżarnia, składała się ona z owoców, nabiału przyprawnego, suchych ryb, wędzonych mięs, jarzyn, chleba, i tym podobnej żywności. O ile opisane miały pozór powszedni, o tyle zajęła mię ostatnia. Leżała ona po prawej ręce miejsca zaslonionego proporocami, pod oknem do pierwszego podobnem, odpowiadając bibliotece. Miała kształt półokrągły; wysłana była mchem, jak cała pieczara, tylko nierównie ozdobniej i smakowiciéj, a na tło mchu rozrzucono konchy, muszle, świecące kamyki, szkła różnokolorowe, robaczki o błyszczących skrzydełkach i tym podobne. Głównie jednak przyozdobiło ją okragłe lustro: zrównoważony przypływ i odpływ wody utrzymywał je w stanie wiecznego wygladzenia; dodawało mu blasku okno jakby umyślnie na to wyrobione, ożywiał zaś lekki podziemny szelest, który szeptał o tajemniczych drogach jój nurtów, a nie klócił bynajmniej spokoju powierzchni. Musiała to być godowa izba Machnickiego, gdyż u dołu całej ściany wystawało półkołem kamienne

siedzenie, a siedzenia dotykał stół umieszczony, jak raz na jego połowie: w téj chwili stało na nim śniadanie, do którego właśnie mię wezwano. Wprawdzie dostarczyła go tylko spiżarnia Machnickiego: nie było tam nic więcej oprócz sera, masła, owoców, mięs wędzonych i chleba, a za cały napój woda pod bokiem stojąca, ale potrzebowałem jakiegokolwiek pokarmu, spotkałem się z nim w tak dziwném miejscu i położeniu, zawezwano mię z taką serdecznością, że w całym życiu nie pamiętam chwili jedzenia przyjemniej spędzonej. Mógłem oddać się zupełnie téj przyjemności, bo uprzejmy gospodarz wziął na siebie wszystkie niedogodności podobnej we dwóch biesiady, nawet rozmowę: przedmiot jój sam się nastroczał.

— Skromny posiłek — mówił on — skromny, a nawet lichy, to prawda; ale królewski, wysoce królewski. Komuż przystoi bardziej żyć podobnie, jeżeli nie królowi, jeżeli nie takiemu jak ja człowiekowi, który z wysokości swojego stanowiska ogarnia, a przynajmniej powinien ogarniać miliony biedaków, widzieć wszystkie ich potrzeby, czuć wszystkie nędzy. O tak! niech mi się w truciznę mieni pierwszy kąsek, który pożyję, bez koniecznej potrzeby, niech mój żołądek na wieki się zamknie, jak tylko zażąda zbytkowego pokarmu. Jem tylko tyle, abym żył, tylko tyle, w całym znaczeniu tego wyrazu. Zresztą odwykłem od waszych przyprawnych potraw. Zginałbym, gdybym zechciał żyć po waszemu. Zaszedłem z przyrodą tak daleko, w tak bezpośrednie stosunki, że jużbym nie mógł przeniewierzyć się jój bezkarnie. Grzeszę jednak czasami, ale Bóg świadkiem,

że mimowolnie. Kiedy niekiedy muszę zamieszać się pomiędzy ludzi, bo zwykle całe zimy pomiędzy niemi przepędzam, dla spraw mojego królestwa, a wówczas rad nierad muszę zastosować się, choć w części do ich sposobu życia. O! gdybyś wiedział, jak drogo muszę opłacać te wykroczenia; ciężko pokutuję za nie. Pomijam choroby, tortury ciała; ale umysł, serce, dusza, wszystko idzie pod chłostę, myśl gaśnie, serce stygnie, dusza wpada w jakiś dziwny zawrót, opuszcza mię cała moja królewskość; nieraz jestem już bliski zostania jedynym z waszych rozsądnych. Dzięki Bogu, że to wszystko trwa pewny czas tylko; pokuta przemija, jednam się z przyrodą, państwo wraca do posłuszeństwa i jestem znowu królem jak byłem. Ale o to mniejsza. Jakże znajdujesz moje królewskie mieszkanie?

— Prześliczne! — odpowiedziałem bez namysłu — dziwne! tak poetyczne, że opis jego może się wydać zmyśleniem; jedném słowem godne całego państwa i jego władcy. A uwielbieniu temu równa się ciekawość!

— Rozumiem — przerwał Machnicki — chciałeś wiedzieć, z kąd się ono poczęło i jak przyszło do tego stanu? — Będiesz to wiedział w swoim czasie: przebac, że nie zaraz. Powieść za długa, a rzecz ważna, jedna ze świętych dla mnie tajemnic; ubliżyłbym jej, gdybym ją wyłożył na stół zamiast wetów. Żeby ją godnie opowiedzieć i usłyszeć, potrzeba stósowniejszego miejsca i pory niż chwila jedzenia i stół zastawiony jałdłem. Ułatwiemy się wprzody z jedném.

Niebezpieczeństwo byłoby niewczesne i bezskuteczne; poszedłem więc w milczeniu za radą gospodarza; wiedziałem nadto, że nie stracę na tém, jeśli mu zostawię zupełną swobodę postępowania. Skłonność wywnętrzenia się posuwała się w Machnickim, aż do namiętności, aż do słabości: podawał się jęj tém swobodniej, z tém większą rokoszą, im powolniejszego znajdował słuchacza; wtedy powiedział więcej, niżby chciał powiedzieć. Powinienem jeszcze wyznać, że rozmowa jego bynajmniej mnie nie nużyła; przeciwnie miała szczególniejszy urok. Tyle tam było życia w głosie, tyle uczucia w każdym ruchu, tyle duszy w całej postawie, tyle wzniosłej fantazyi w pomysłach, tyle trafnego sądu w uwagach, w ogóle taka logiczność, ma się rozumieć logiczność właściwa stanowisku, z którego na wszystko zapatrywał się Machnicki, tyle prawdy i pożytecznej nauki w głębi jego obłąkania, pod dziwną barwą panującej myśli, w samej téj myśli coś tak niepospolitego, coś tak rzecznego, że porwany wirem improwizacyi, zapominałem o królu zamczyska, o obłąkańcu, a wchodziłem mimowolnie w stanocześnika, który czyta piękną fantastyczną powieść, lub patrzy na przedstawę jakiejś fantastycznej sceny.

Znajdywałem się właśnie w podobnym stanie, kiedy Machnicki po krótkim milczeniu znowu tak zaczął z uśmiechem zadowolenia, że znalazłem jego mieszkanie, jak sobie życzył:

— Przyznajesz więc, że mój pałac jest prawdziwie królewski. Spodziewałem się tego, bo wiem, że patrzysz okiem duszy niepospolitej. Ale dotąd widzisz tylko ciało; nabierze ono większej wartości, kiedy ci odsłonię jego duszę, bo w każdej rzeczy dusza jest wszystkiem. Ztąd zwyczajni ludzie w ciągłym są złudzeniu, że z powierzchowności tylko sądzą. Któryż z nich wejrzawszy na górę zamczyska, domyśli się miejsca, w którym oto jesteśmy i życia, które tu w tej chwili panuje?

— Zmyślenie! bajka! zawołaliby, gdybyś im o tém powiadał. Sami jednak wiecznie tworzą kłamstwo i wierzą kłamstwu. Naprzykład na karb tego zamku i jego króla, Bóg nie wie co plotą, a wszystko tak prozaiczne, drobne, nikczemne. W niczem śladu, w niczem promyka wielkiej myśli.

Koniec końców, zamek dla nich to tylko budynek kilkuwiekowy, dzisiaj gruzi na nic nie przydatne, chyba na materyał do jakiej gorzelni. Machnicki? ot sobie waryat, ale nie więcej i zamykają usta spokojni, jak żeby największą prawdę powiedzieli. Nie lepsze od nich kroniki, a przynajmniej mało co lepsze. Co to za nędza te wszystkie kroniki! wierzyłem im kiedyś; mam je dotąd jeszcze, ale dzisiaj nie wierzę. Prawda, trzeba było cudu, żeby im się oczy otwarły, ale się otwarły: jestem dziś w samym źródle prawdy. Spytaj kronik o początkach tego zamku? odpowiedzą ci: o, dawny! kilka już wieków stoi. Nie wiedzą nic o tém, że on trwa od potopu. Ziarno jego przyplłynęło z wodami potopu, z raju; spoczęło w tej pieczarze,

przebiło swoim kielkiem skały i wyrosło w zamek. Z czasem, z czasem zamek praojciec rozpuścił swoje korzenie podziemne, Bóg wie, jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody; Bóg wie, jakie zamki powstały z jego odrośli, warszawski, krakowski, gnieźnieński i krocie innych i Bóg wie jakie jeszcze powstaną; ale to tylko odrośle; główny ich korzeń tutaj, tutaj kołyska ich dziejów.

— Zdziwisz się, kiedy ci opowiem z pewnością, że tutaj mieszkali wszyscy królowie od pierwszego aż do mnie, owe Lechy, Krakusy, którzy nie byli ani takimi Lechami i Krakusami, jak nam kroniki przedstawiają i żyli nierównie dawniej, niż pamięć naszych kronik zasięga. Tu miały miejsce najważniejsze wypadki naszych dziejów. Chwile najwznioślejsze, najrzeczniejsze, najokropniejsze naszego życia, mają tu swoje groby i pomniki: mówię o tych, które dziejopisowie z łaski swojej zanotowali, a dopieroż te, o których nie zasłyszeli, których ani się domyślali! I nie mogli zrobić lepiej, bo nie znali tego miejsca, nie żyli w niém, nie spili się z niém duszą: a tylko tutaj mogli czerpać wiadomość całej przeszłości, bo tu jest jądro naszego życia.

— Powiadam ci: nie ma tu ptaka, któryby o tę przeszłość nie śpiewał, nie ma wiatru, któryby nie wzdychał jej smutkiem; nie ma kropli rosy, któraby jej łzą nie była: zapytaj każdego cienia chmury, co się po tych gruzach przesuwają, każdego tententu ilokroć nogę postawisz, zapytaj tej wody, co tam wiecznie szeptem, a usłyszysz taką powieść, jakiej żaden

pisarz dotąd nie wymyślił i wymyślić nie zdoła: trzeba tylko umieć zapytać i słuchać.

— Ten orzeł, co go widzisz nad proporcami, to pierwszy orzeł biały: co się wniósł nad tą ziemią; on jeden opowie ci całe jój życie,

— Dla tego to osiadłem i zamknąłem się tutaj. Aby ratować życie, trzeba zejść do jego źródła.

— Wyobraźcie sobie moję rozpacz, moję wściekłość, kiedy przyjdę do ślacheica i mówię: mój panie, zamek coraz bardziej niszczeje! — a on mi odpowiada: prawda! ale to takim tonem, jak żeby przyświadczał, że słońce świeci, albo deszcz pada, a myślał o czém inném. Zniecierpliwiony wołam: zamek upada, powtarzam panu; trzeba go ratować wszelkimi siłami, jak najprędzj; on zaś na to: niewarto zachodu. Czasem robi uwagę, że będzie ładny las w tém miejscu, albo znacznie ubolewać; co za szkoda, że tyle gruzów, byłby kawał roli i kilka kop zboża.

— Obląkani! głową i sercem! chcieliby wszędzie widzieć swoje liche budowy, swoje warsztaty, swoje zboże. Nie wiedzą o tém, że są miejsca na ziemi, którym jedynie przeznaczono wydawać myśl, pożywienie dusz milionów; obróć je na użytek pojedynczego ciała, a będziesz winny świętokradztwa, popełnisz zabójstwo na duszy narodu. Ale do tego nie przyjdzie. Od czegoż byłbym królem? O! dopóki żyję, nie przyjdzie do tego. Oprę się całą potęgą mojęj duszy i duszy zamku. Z ziemią, z powłoką mogą zrobić, co się im podoba; mają przemoc, ale nie dotkną życia; prze-

chowam je, ocale, oddam w ręce pewne, w silniejsze od moich, a wtedy biada, biada samolubom i zdrajcom!

Nagle umilkł: pierś jego robiła silném wzburzeniem, w oczach gorzał ogień rozpłomienionj duszy; marszczki czoła połamały się w tajemnicze charaktery groźby: nie widziałem jeszcze podobnego wyrazu w jego twarzy, w niczyjjej może twarzy nie widziałem dotąd wyrazu oburzenia, któryby obok tego łączyło w sobie tyle dzikięj energii i wzniosłości; udałem jednak, że uniesienie to uszło mojęj baczności i mniemałem ulżyć jemu, zwracając rozmowę do innego przedmiotu.

— Co za szkoda — rzekłem — że wszystko, co tu widzę, co słyszę, czego zresztą wolno mi domyślać się, pozostanie może na zawsze w twojjej tylko duszy, zacny panie Machnicki, albo zagaśnie w ciemiach twojego podziemia. A tym czasem wiadomość tych dziwów, tych dziejów, o których mi napomknąłeś, mogłaby przynieść światu wiele korzyści, kto wie, czy nawet nie jest mu konieczna. Człowiek człowiekowi, pokolenie pokoleniu zdają swoje prace: tym tylko sposobem dokonywają się wielkie dzieła. Szkoda więc byłaby, żebyś zeszedł bez następcy, i bez zostawienia śladu twojjej pracy i twoich wiadomości.

Niewinny mój wybieg udał mi się: tjjże chwili postrzegłem w Machnickim zmianę, jakiej pragnąłem, burza uczuć ustąpiła z twarzy, została tylko po nięj

pewna uroczystość; z tą uroczystością słuchał mnie cierpliwie, i odpowiedział skoro mówić przestałem:

— Obawa twoja chwalebna, ale w tym razie próżna. Następca, mój następca opatrność go wynajdzie, jak mnie wynalazła. Praca też moja nie przejdzie bez śladu. Przekonam cię natychmiast.

Prowadził mnie ku stolikowi, na którym leżała uważana już przezemnie ogromna księga.

— W tej księdze — rzekł — wszystko znajdzie ten, kto będzie powołany kończyć moje roboty. Są tu dzieje moje, dzieje państwa, cała jego przeszłość i stan obecny; jest tu wątek wszystkich spraw jego, prawodawstwo, polityka, proroctwa nawet, zgola wszystka mądrość mojego państwa. Nieomylnym to przewodnik królów zamezyska. Nie sądz, że przywiązuje do tej księgi większą wagę niż warta, że to jest księga zwyczajna, zwyczajnie pisana. Nie sądz tak. Pisało ją pióro anioła, pod natchnieniem anioła tego zamku, który wiecznie stoi nad nim i świeci jak południe; wszystko też w mojej księdze jasne jak południe, święte jak anioł, prawdziwie jak jego obecność w tych miejscach.

— Czyja zaś ręka pisała? czasem moja, nie zawsze moja, a często mnie nawet niewiadoma. Oto masz dowód.

Przerzucił kilkanaście kart i pokazał mi w samą rzecz kilka charakterów całkiem odmiennych, jak żeby inną ręką pisanych, co jednak łatwo sobie wytłumaczyć bez uciekania się do nadzwyczajnych przyczyn, że obłąkaniec z tak silną wyobraźnią, zdolny był w gwał-

towniejszych przystępach swojej choroby, albo całkiem utracić świadomość siebie, albo uważać się za osobę, której rolę przybrać mu się podobało.

— Na tém nie koniec! — mówił dalej — dam ci jeszcze ważniejszy dowód, że myślę o przyszłości mojego państwa i nie chcę zamknąć w sobie samym jego tajemnic. Przystąpimy więc do najważniejszego obrzędu.

— Dotąd byliśmy z sobą, jak gospodarz z gościem, jak prywatny z prywatnym; czas już, abyś mię obaczył w całej ozdobie królewskiej, poznał ostatecznie króla zamczyska. Nie myśl, żeby mnie do tego pobudzało proste przywidzenie; o nie! mam ci objawić takie rzeczy, których mi nie wolno objawić tylko z mojego tronu, pod zasłonę królewskiej powagi, a może i pod bodźcem królewskich cierpień. Pamiętaj nade wszystko, że tym czynem dowodzę ci nadzwyczajnego zaufania. Pewny jestem, że mnie nie zawiedziesz. Rozstańmy się teraz na chwilę. Przez ten czas masz wolność przepatrywać moję kronikę. Nie dziw się, jeżeli za długo zostawię cię w oczekiwaniu. Są pewne obrzędy przygotowawcze, bez których dopełnienia niewolno mi dawać uroczystego posłuchania.

To rzekłszy, skinął ręką na pożegnanie i wszedł pod zasłonę proporców, a ja zacząłem przezierać zostawioną mi księgę.



V.

Historya Machnickiego.

History of Technology

V.

HISTORIA MACHNICKIEGO.

Korzystając ze względów Machnickiego, starałem się przejrzeć jego kronikę w czasie •jak można było najkrótszym: byłem prawie pewny, że niedługo zostawi mnie sam na sam, przeleciałem ją więc raczej oczami, aniżeli czytałem. Mimo tego pospiechu, udało mi się zatrzymać uwagę w kilku miejscach i powziąć z nich wyobrażenie o duchu całości.

Dziwna to była księga; dziwna, jak stan umysłu wy jój Twórcy. Taż mieszanina co w rozmowie logiczności i bezładu, głębokiej filozofii i obłąkania, wniosków najsurowszej rozważi i zapędów rozkiełznaney wyobraźni, cierpień urojonych i rzeczywistych, wiary w nadzwyczajne powołanie, gorzkich wyrzekań na świat społeczny, przeczuć, widzeń, prorocत्व: często wzniosła, nieraz mądra, poezją ubarwiona wszędzie, cała

jednak nie była niczém więcej, jak igraszką wyobraźni; obracała się głównie na jedném przywidzeniu, i z niego rozwijała świat zarzeczywisty, życie w sferach urojenia; stąd ciemna po większej części niepojęta dla umysłów niewtajemniczonych. Głównym jój przedmiotem były sprawy państwa, porządkiem dziennym zapisywane: znalazłeś tam prawa, postanowienia, urzędnia, protokoły narad gabinetowych, stosunki z innymi podobnego rodzaju mocarstwami, wojny, przy mierza, traktaty: obok nich czytałeś sprawy dotyczące osoby Machnickiego, jego pożycia codziennego z ludźmi, z przyrodą: z tego względu był to rodzaj dziennika, który obejmował najdrobniejsze szczegóły życia, najmniejszą czynność myśli, przygody, uwagi wszelkiego rodzaju, pomysły, marzenia, powiastki, wszystkie prawie z niezwykłych źródeł i dotyczące przeszłości królestwa, nawet poezye. Ale klucz do zrozumienia wszystkiego miał tylko Machnicki. Była to kronika świata, który on sam sobie stworzył z żywiołów jemu tylko wiadomych i zaludnił istotami, którym, jak pierwszy człowiek nadał swoje nazwiska. Weszło w ten świat wszystko, co należało do obrębu zameczyska, dało się przeczuć w jego głębiach, lub miało z niém bezpośrednią styczność: ziemia, woda, skały, kwiaty, murawa, samo powietrze, wszystkie przypadłości światła i cienia, pogody i niepogody. Wszystko aż do kropli rosy zwało się, żyło, miało swój stosunek z całością, swoje w nięj posłannictwo: wszystko związane było w ogół kraju i narodu. Ten kraj rozdrobniony był na podrzędne podziały; nieraz jeden głąz, jedno drze-

wo, stanowiły prowincję. Pory roku, niebieskie światła, zmiany powietrza, występowały tam jak mocarstwa przyjazne państwa Machnickiego, miały swoje nazwiska, prowadziły z nim wojny mrozem, skwarem. niepogodą, staczały bitwy wichrami, burzami, piorunami. Kości, skielety, składały wojsko państwa i dwór królewski. Cokolwiek mogło jakiś dźwięk wydać, śpiewało mu jak muzyk, jak poeta, rozmawiało z nim: dostrzegłem w kronice nie jedną pieśń, przepisanej z ust skowronka, kruka lub skrzypiącego drzewa, nie jednej powieści, którą wygadał jakiś wiatr wzdychający samotnie wśród gruzów, jakieś źródło szepeczące z kamykami: a ten wiatr, to źródło opisane było we wcieleniu fantastycznym, wymienione po imieniu. Co tylko poeta zdoła wymarzyć najniwyraźniej, Machnicki odział to w kształty, ożywił, związał w jeden ogół, zamienił w świat rzeczywisty dla siebie i w ruch działania puścił. Takiego tylko mogłem nabyć pojęcia owej kroniki: raz że miałem przed sobą, tylko tom piąty, potem, że go przebiegałem z wielkim pośpiechem, наконец, że jeszcze i w tém tak pospieszném czytaniu miałem roztargnienie. Przyczyną mojego roztargnienia była dziwna scena za proporcami, widać scena wstępna do posłuchania. Dotąd nie umiem jej sobie wytłumaczyć, ale słyszałem to głośnie rozmowę Machnickiego, to jęki jego przytłumione, to łoskot jakby biczowania się, to brzęk licznych dzwonek, przeplatane długą głęboką ciszą.

Nagle rozsunęły się proporce i odsłoniły wewnątrz framugi nieznanej mi dotąd. Ściana jej była czém,

czarném powleczone; w głębi, przy samej ścianie, na prost otworu, stał krzyż czerwony takiej wielkości, że końcami ramion dosięgał ścian pobocznych, a wierzchołkiem okna, mającego tenże kształt co dwa powyżej opisane i umieszczonego na téjże samej wysokości. Na środku było podniesienie z wielkich gładów, gdzie stało obszerne krzesło, powleczone gdańską skórą, z ledwo dojrzanemi śladami złocistych wzorów, przed krzesłem stał niewielki stolik, na nim leżał kosztur niezgrabnie wyrobiony i różga brzoźowa, po obu stronach stolika dwa krzesła mniejsze, a wszystko w smaku sprzętów, jakie dziś jeszcze widzieć można po starych naszych zamkach.

Machnicki stał między stolikiem a wielkiem krzesłem. Odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z latek rozmaitej barwy; na głowie miał czapkę z podobnych latek, okragłą, szpiczastą, ubraną w błyskotki i dzwonki, krótko mówiąc, taką jaką dawniej trefnisie nosili; nadto otaczał ją na czole uwiedły wieńiec z gałązek dzikiej róży. Niemniejszą zmianę jak w stroju, postrzegłem w Machnickiego obliczu. Pogodne przedtém, dobroduszne, przybrało teraz jakiś dziki wyraz gniewu, ponuręj surowości, wewnętrznego cierpienia, a nawet obłąkania wyraźniejszego jak zawsze. Ubiór zapewne nie mało przyczynił się do téj zmiany, ale po większej części wychodziła ona z wewnątrz. Przykrém, niewysławionem uczuciem przejął mię ten

widok. Krzesło tak przytykało do samego krzyża, że stojący w téj chwili Machnicki wydawał się, jakby spoczywał na krzyżu. Był to widok zarazem dziko-malowniczy i pełny jakiegóś bolesnej tajemniczości, zwłaszcza kiedy dodamy strój osoby i czarne tło całego obrazu.

Dał znak ręką, abym się zbliżył i przemówił głosem zrazu uroczystym, ale widocznie przytłumionym, który w końcu zamienił się w ton szyderyczy:

— Otóż nakoniec widzisz króla Zameczyska! Widzisz go w całym przepychu królewskiego majestatu, w całej nagości.

— Oto jest purpura! to korona, a tu berło! Patrz! ażaliż nie królewskie? Patrz więc i śmieć się!

To mówiąc, zaśmiał się śmiechem tak dzikim, jak tylko być może najbardziej wymuszony z bolejącej piersi, rzucił się na krzesło całym ciężarem ciała, kręcił się po nim jakiś czas, porwał miotelkę, zgrzytnął, uderzył się nią po wieńcu, jęknął głęboko, ale w téjże chwili zaczął się uspokajać, jak żeby przychodził do upamiętania, i utkwil we mnie wzrok więcéj zdziwiony jak obłąkany, widocznie spokojniejszy.

— Jak to? ty się nie śmiejesz? — mówił znowu powoli, powtórzył to samo i cichł — a toż przecie purpura królewska, ten serdak trefnisia; a ta korona? któżby w niej poznał koronę Chrobrych? Co za hańba? co za hańba! — zasłonił oczy ręką, z pod ręki wytoczyło się kilka łez. Odsłonił oczy, a na twarzy nie już nie było oprócz głębokiego rozrzewnienia.

— Ale nie moja w tém вина, nie moja. Sam się przekonasz, kiedy ci opowiem. Dla tego wpro-



wadziłem cię tutaj i wszystko odkryłem. Przrzekłem ci posłuchanie królewskie: chcę spełnić moje przrzeczenie. Siadaj i słuchaj.

Usiadłem na kamieniu zewnątrz otworu framugi, a Machnicki od tych słów zaczął swoją powieść:

— Podniosłem ci nie jedną zasłonę moich tajemnic, muszę teraz powiedzieć ostatnie ich słowo. Leży w niem cała historia mojego życia. Wypowiadam się przed tobą jak dotąd przed nikim, jak zapewne przed nikim już spowiadać się nie będę. A robię to nie z samej potrzeby mojego serca: ale dla korzyści mojego państwa, dla dobra czyjegoś, choć on dotąd niegodny: zresztą, Bóg z nim; nie mnie dano sądzić go ostatecznie. Słuchaj więc mojej powieści. Będzie ona długa, może nieporządna, jednak nie przerywaj. Nie przerywaj mi, choćbym według ciebie najnieznośniej bredził. — Nie ostrzegaj mię. Mam ja w głowie ciąg myśli mnie właściwy: tego pasma nigdy się nie puszcze. Zresztą jest coś, co mnie ostrzeże i dotknął ręką swojego kołpaka.

Przystawszy w tém miejscu, zamyslił się, puścił czoło, zaczął być niespokojnym, widocznie szukał myśli, nareszcie poprawił się w krześle i mówił:

— O! ten początek zawsze mi najcięższy. Najtrudniej mi przenieść się w tę powszednią przeszłość, schwycić koniec jej nitki najtrudniej. Jest ona dla mnie jak sen coraz niewyraźniejszy; ale mam ją wreszcie.

— Trzeba ci wiedzieć, że i ja byłem kiedyś człowiekiem jak wszyscy ludzie; mężem, ojcem, sąsiadem, szlachcicem, urzędnikiem, dobrym nawet urzędnikiem; po całych dniach, a czasem i nocach siedziałem nad rachunkami. Ja myślę, że to był sen tylko: dzisiaj niepotrafiłbym najprostszego dodawania. Ale wtedy! o! wtedy nie wołano jak dzisiaj, gdzie się obróć: waryat! waryat! nie patrzano z litością, z szyderskim uśmiechem, jak na waryata, jak dzisiaj. Miałem rozum, bo byłem waryatem, jak wszyscy ludzie, nie mniej, nie więcej, nie odróżniałem się od nich, uchodziłem więc za porządnie rozumnego. Wszakże powinienem oddać sobie tę sprawiedliwość, że wiecznie nosiłem w sobie zaród mojej wielkości i przeczuwałem ją i dążyłem ku niej, chociaż bardzo powoli z początku. Jakiś pociąg osobliwy, niepojęty mi dawniej, przywiązywał mnie do tych murów od niepamiętnych czasów. Było to coś naksztalt przeczucia miłości, a potem pierwszego jej objawienia się, a potem zwaryowania z miłości.

Wymawiał to powoli, z namysleniem się, naostatkku zadrzał, dzwonki zagrały, a on mówił dalej:

— Nasamprzód z daleka lubiłem patrzeć na zamek. Nie wyglądał on tak dziko jak teraz; stał prawie cały, prawie cały zamieszkany. Wieczorami błyszczały światła z jego okien, we dnie dymy snuły się z kominów; bramy odmykały się i zamykały; szczekały psy, piał koguty; śpiewano, śmiano się, żył pełnym życiem obecności, a dla mnie żył nadto życiem przeszłym. Miałem już wówczas widzenia prze-

szłości, ale jeszcze ciemne: wystarczało mi zdaleka patrzeć na zamek. Tęskniłem jednak jak do najwięk-
szego szczęścia, żeby w nim mieszkać: i było coś,
co mi ciągle szeptało: będziesz w nim mieszkał.

— Zdarzyło się, że musiałem porzucić na jakiś
czas te strony. To oddalenie dopiero przekonało mię,
że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim,
jak za kochanką. Co noc we śnie go widziałem, nie-
kiedy za całym urokiem kobiecej piękności. Czy ty
uwierzysz temu?

I zamilkł z widoczną chęcią, abym odpowiedział.

— Dla czegoż niemiałbym uwierzyć? — rzekłem.
Jakaż inna miłość, jeżeli niepodobna do téj, prowa-
dzi tysiące na śmierć, dla ojczyzny naprzykład? od-
biera spokojność, wesołość, rozum, życie? Tylko, że
na pozór jéj przedmioty różne. Jeden ukochał swoje
góry, drugi swoje wody, ten pałac, tamten chatkę; ale
biorąc rzeczy głębiej, każdy z nich ukochał anioła, du-
cha swojego narodu, który mu przedstawia zmysłowo,
niby w symbolu określonym, najstósowniejszym do jego
usposobień i pojęć.

W miarę jak mówiłem, Machnicki wyciągał rękę
i przytwierdzał skinieniami, a kiedym skończył, ude-
rzył w stół i zawołał:

— Mówisz zupełnie tak, jak ja czuję. Ale nie-
stety! zawołał znowu po krótkim przestanku, dla cze-
goż tylu jest, którzy nie czują tego ducha pod po-
włoką symbolu, i przywiązują się tylko ciałem do
ciała. Kochają swój dom, bo ładnie zabudowany, do-
brze opatrzone, wygodny; własny: kochają swoją wio-

skę, bo z jej dochodów mogą dobrze jeść, pięknie się ubierać, wesoło życie prowadzić, robić w niej, co się podoba i — mięko zasypiać; kochają swój kraj, bo kraj jest dla nich to samo, co wioska.

— Nie taką miłością pokochałem ja zamek, Bóg mi świadkiem, nie taką: bo i cóż miałem z niego, lub mieć mogę dla ciała? Pokochałem go, że w nim było tyle życia, tyle szczęścia dla wszystkich, ja ludzie nazwali to obłąkaniem.

Wzruszył się, dzwonki zagrały, to go uspokoiło, wrócił do powieści.

— Tęskniłem więc i coraz mocniej. Nie mogłem przemódz owęj tęsknoty: zlwaszczą, że przybył jej w pomoc niepokój smutnego przecucia. Urwałem li- chego interesa i wróciłem. Niedarmo tęskniłem, nie fałszywie przeczuwałem.

— Zamek opustoszał, poczał nawet upadać w niektórych częściach. Smutne, okropne wrażenie zrobił na mnie ten widok. Ale téż odtąd jeszcze mocniej zacząłem przywiewywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą. Dusza coraz wyraźniej ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mię ku niemu coraz częściej. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz noce w nim przepędzałem i nie miałem już ze strony ludzi żadnych przeszkód. W końcu zaznajomiłem się z najskrytszym zakątkiem. A kiedy nie mogłem być w nim, albo nań patrzeć, to miałem obraz jego w głowie, jak wyciśniony na mózgu. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mię coraz bardziej nudzić. Nie znajdowałem

już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów. Każdy szczegół dziejów, każda chwala, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska. Cokolwiek było pięknego w przeszłości, to go ozdobiło; co było okropnego, to zawisło jak zasłona żałoby na jego wdziękach.

— Tym sposobem zamknąłem w nim całą przeszłość, całą przyszłość w nim uosobiłem. Ale miałem jeszcze rozum. Przynajmniej ludzie uważali mnie jeszcze za rozumnego. Nie widzieli mojej duszy: wstydzilem się ją odkryć. Czy uwierzyłbyś temu, że się wstydzilem mojego stanu duszy? Do tego stopnia byłem kiedyś powszedni, słaby, głupi. Co gorsza, wyrzucałem sobie nieraz to uczucie, walczyłem z nim, chciałem je zniszczyć. Na szczęście moje, postanowienie to zapóźno mię napadło. Jednak wdzięczny mu jestem, ono przyspieszyło chwilę stanowczą. Opowiem ci teraz ten wypadek najważniejszy w mojem życiu; ten tryumf mojej królewskiej przyrody.

— Opanowała mię właśnie jedna z chwil owego wahania się i głupiego postanowienia. Poszedłem za jej popędem i zabrałem się szczerze do moich urzędowych rachunków. Nie wiem, skąd wy dobyłem z siebie tyle siły; nie wiem jakim sposobem znalazły się jeszcze myśli nie podbite od mojej miłości, że na czas jakiś ustąpiła im zupełnie i zostawiła liczbom wolne pole. Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy

dni, trzy nocy pracowałem, z małemi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten czas liezbami tylko myślałem, tak, że w końcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby, liczby układały mię do snu i budziły, na jawie jak we śnie liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nie nie słyszałem, nie nie widziałem do koła siebie: oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż w końcu pamiętam całą scenę, jakby się powtarzała w téj chwili: odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciej nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem i wiatr przeraźliwie zawodził. Zreższą wewnątrz domu cicho, jak żeby wszystko umarło. Czułem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mię opuszczają. Nie przestawałem jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się z pod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach, jak te wstążki ognia, kiedy dziecię rozżarzoném łyczywem w różne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jęj palenie po nagłych, przykrych zmianach, to rażącego blasku w ciemności, to ciemności w blasku. Naraz całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczoł rozdrażnionych, obsypało mię całego, wygryzało się w oczy, dzwoniło w uszach osiadało na mózgu. Chciałem się porwać, upadłem nazad na krzesło bez siły, w téj chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka.

— Byłoż to tylko omdlenie? Wątpię. Utraciłem siły, ale nie przytomność. Widziałem, co się dzieje, gdzie jestem. Czułem do koła siebie i przeraźliwą ciemność i martwą ciszę uspiętego domu: deszcz ze śniegiem bił w okna, wiatr przeraźliwie zawodził. Mimo to rozpylałem się duszą w niewymownie lubyhym stanie jakiegoś spokoju, swobody, uciechy o których dotąd nie miałem wyobrażenia. Cóżby to było? jak sądzisz?

— Właśnie powiadają — odezwałem się — że zwykle podobne uczucie towarzyszy omdleniu z powolnego osłabienia.

— Ale czy omdlenie może zostawić tak wyraźną pamięć przeszłości i wiedzę obecnego stanu tak zupełną? Czy można w omdleniu śnić tak jasno, żyć tak zwyczajnym życiem?

Odpowiedziałem, że tego rozwiązać niepotrafię.

— I nie ma potrzeby, jak dla mnie łamać sobie nad tém głowy — mówił znowu Machnicki — gdyż jestem pewny, że ów stan był czémś ważniejszém, jak zwyczajną słabością, jak omdleniem. Wiesz o tém, że wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy. Ciekawa to była chwila, kiedy przechodził granicę dwóch czasów, dwóch bytów. Jak na dłoni ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jednym spojrzeniem, a całą przyszłość w jednej tylko postaci, w postaci zamku, ale jakiego zamku!

Zatrzymał się znowu, jak żeby się namyslał.

Nie! — rzekł — gdyby im nawet wolno było odłonić komukolwiek ten obraz, nie znalazłbym na to wyrazów w dzisiejszym naszym języku. Dostyc powiedzieć, że kiedy ujrzałem obok niego życie moje przeszłe, wszystkie jego prace, troski, żądania, nadzieje, plany; zaśmiałem się nad niem, jak nad niewinnem głupstwem, z całego serca. Ten śmiech rozległ się w gmieniu oka tak do koła, z taką siłą, jak żeby cały świat sobą zappełnił, jak żeby mi odpowiedział śmiech całego świata.

— Ale nie była to radość. W tym śmiechu zaczęła się znowu moja przyszłość, moja wieskość, moja męczarnia. Bo różne są rodzaje cierpienia dla ludzi. Ten z za krat więzienia musi patrzeć na niebo wiecznie to samo dla złych i dobrych; tamten przykuty do taczki podziemnej roboty, dźwiga dzień i noc trupa myśli, której swoje życie poświęci, temu tortury łamają kości, nie mogąc złamać ducha, który sercem ogarnął; temu przeznaczono każdy śmiech nieprawości bolesną łzą odkupywać, ale są inni, których postawiono światu na cel, aby szyderski uśmiech przeszył w nich każdą myśl kochającą, każde uniesienie poświęcenia i nadto kazano im samym śmiać się z tego, co właśnie bóle śmierci przynosi. Cierpieć dla wszystkich i konać wśród śmiechu wszystkich, a często własnego, to nie lepsze od innych tortur.

Dreszcz mimowolny całego ciała przerwał w tym miejscu Machnickiemu, ale zdaje się, że głos poruszonych dzwonek, przywołał go do porządku, bo znowu natychmiast zaczął.

— Otóż, zaledwem się zaśmiał, kiedy usłyszałem do koła siebie niby jego echo, i dźwięk, jak żeby wiatr gwałtowny zatrząsł oknem. Otworzyłem oczy, zwróciłem się ku oknu i ujrzałem w nim wielką światłość, niby od pożaru, a w téj światłości postać ubraną, jak nam opisują ubiór dawnych trefnisiów, jak zresztą mnie dzisiaj widzisz, z małemi odmianami. Pojąłem wtedy, skąd pochodził śmiech i dźwięk. Nie skończyłem jeszcze téj uwagi w duchu, kiedy postać dmuchnęła ku mnie po dłoni i znikła.

— Okno zamknęło się z nowym dźwiękiem, kiedy niekiedy zagwizdało wiatrem, jak coraz dalszym chychotem, a blask co bił przez nie, w téjże chwili zagaśił całkiem. I wszystko znowu jak było wprzód. W całym domu cichość, po ścianach pluska deszcz ze śniegiem, i świeca znów gore. Rzuciłem okiem na stół, widzę, na papierach czerwieni się jakiś listek; biorę go, zapisany; czytam bilecik:

— Panie Machnicki! zamek w niebezpieczeństwie. W tobie jednym jego nadzieja. Przybywaj jak możesz najprędzej. Czeką cię królestwo. Tylko spiesz się. Twój sługa i przyjaciel Stańczyk.

— Ten list chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejako dyploma mojej królewskości. Powinięś go widzieć.

To mówiąc, odemknął wiszący na jego piersiach medalion, kazał się zbliżyć i podał mi z uszanowaniem, nie innego, tylko uwiędły czerwony listek, stoczony w połowie przez owady. W pozostałych nitkach włókien, można było wprawdzie dostrzedz jakichś

fantastycznych znaków, ale nie było żadnego podobieństwa do pisma. Czuł to zapewne sam Machnicki, gdyż się odezwał:

— Pisanie to, nie dla wszystkich. Trzeba być wtajemniczonym w moje państwo, żeby je odczytać; niemniej przeto pojętne dla mnie i drogie.

Oświadczyłem zupełną wiarę w to, co mówi, oddałem listek napowrót, a on schowawszy go, tak dalej prowadził swoje powieść.

— Treść listu przeraziła mię niewymownie. Pewny byłem, że w zamku pożar: wprowadziła mię na tę myśl, niezwykła jasność, którą przed chwilą widziałem. Nie rozmyślałem długo, nie wałęsałem się: wyskoczyłem przez okno, wpół rozebrany, jak byłem, i biegłem do zamku pomimo ciemności i słoty. Przybywam na koniec, nie widzę żadnej zmiany, żadnego niebezpieczeństwa. Miałoby to być figiel trefnisi? Chciałem się gniewać, chciałem zrazu natychmiast powrócić, ale bieg nadzwyczaj szybki wyczerpał ze mnie wszystkie siły. Nie mogłem dłużej ustać, mimowolnie padłem. W téj chwili zdało mi się, że ujrzałem Stańczyka, skaczącego wierzchem murów, ze śmiechem diabelskim. To zgniewało mię do reszty. Postanowiłem zrobić figiel za figiel i nie ruszyć z miejsca, choćby mi tam przyszło umrzeć z głodu. I dotrzymałem. Dwa dni z zamku nie wychodziłem, dwa dni żadnego nie wziąłem posiłku. Oslabłem na śmierć. Na drugą noc zawlokłem się do baszty i tam postanowiłem przejąć, cokolwiek mię spotka. Snu nie miałem: gorączka coraz większa ciągle mię rozbudzała: marzyłem tylko i dla

tego widziałem wszystko, co się koło mnie działo. Wi-
dzieć nie mogłem, już to dla ścian, dla nocnych cie-
mności, słuchem jednak byłem ciągle wśród dziwów o-
wego czasu. Niewyraźnie prawda i może nie wszystko
słyszałem, bo nieustające burze, wiatry, szum, ulewy,
szalały jakby umyślném zaklęciem wywołane; ale to, co
słyszałem, mogłoby rozsadzić każde ucho. Jakieś gwary,
krzyki, jęki, jakiś ruch i krzątanie się całych tłumów,
to znowu tentent pojedynczych kroków, to na ziemi, to
gdzieś pod ziemią: ale tego wypowiedzieć niepodobna,
a jeszcze może niepodobniéj w to uwierzyć. Mnie
samemu zdawało się czasem, że w tém wszystkiém nie
ma nic oprócz gwaru drzew, igraszek wiatrów, jedném
słowém, zjawisk powietrza, miotanego zwyczajną burzą:
późniéj dopiero przekonałem się, że to była rzeczy-
wistość, której wtedy nie miałem jeszcze wyobrażenia.
Tylko téż pamięć na słowa listu pomogła im prze-
trwać ów stan niecznośny. Wily się one ciągle po-
między wszystkimi myślami, a w miarę tego, jak
wracały uporniej, zamieniły się w wiarę i w końcu
zostały jedną myślą wyraźną, skupioną, potężną, któ-
ra już wtedy zaczęła pokrzepiać moje siły moralne
i podnosić ducha nad ciało. — Obojętnie począłem
na śmierć patrzeć; byłbym już umarł z myślą kró-
lewską.

— Tak nadeszła chwila, która ostatecznie miała
rozjaśnić, co dotąd było jakby niewyraźném prze-
czuciem. Spałem, czy nie spałem, tego dobrze nie-
wiem, kiedy mię coś gwałtownie za rękę targnęło.
Otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą tę samą po-

stać, którą w oknie widziałem, jednym słowem, Stańczyka. Trzymał w ręku latarnią, mocno był pomieszany, łzy nawet w oczach. — Wstawaj — zawołał — i chodź czémprędzej. Niemamy chwili do stracenia. Czeka cię posłuchanie królewskie. Za chwilę zostaniesz królem. — Wstawaj!

— Na te słowa uczułem w sobie znowu dawne siły. Porwałem się równemi nogami; przebiegliśmy szybko dziedziniec zamkowy, kilka pokojów, i stanęliśmy w głównej zamkowej sali. Leży ona dziś w gruzach, oddawna. Później, przy spokojności pokażę ci miejsce po niej. W sali uderzył mię widok nieznany, niesłychany. Wyobraź sobie zebranych w jeden tłum wszystkich naszych monarchów, poczynawszy od nieznanego nawet dziejom; z żonami, z dziećmi, z całemi rodzinami, w koronach, w purpurach monarszych, w całym przepychu mocarzy namaszczonej najwyższą władzą, w promiennym blasku tyłu imion wiecznych, w czarodziejskim uroku piękności tyłu królowych. Martwe malowidło podobnego zgromadzenia, jużby ci wyrzuciło duszę z kolei zwyczajnego stanu, a dopieroż widzieć to wszystko żywe. Nie dziw, że można zwaryować po takim widzeniu, nie żał zwaryować, żeby mieć takie widzenie. Sam to przynasz.

— Wszakże mimo olśnienia od podobnego widoku, przylotny rzut oka wprowadził mię w niespokojne podziwienie, w stan żalu, pomieszanego z przerażeniem. Wszystko tam było w niezwykajnym ruchu, na niektórych twarzach widziałeś rozpacz; stąd odzywały się męską piersią przekleństwa, tu słyszałeś łka-

nia kobiet; inne modliły się, klęcząc i łamiąc ręce w milczeniu. Wyobraź sobie dom w pożarze, a mieszkańcy ratują co mogą i uciekają; albo jeszcze lepiej dom napadnięty przez złodziei. Tak tam było w owej chwili. Jeden tylko mąż zdawał się panować całemu temu nieładowi. Siedział on w głębi sali, na wielkim gładzie, z ponurą, ale męską rezygnacją. — Uzbrojony był dawnym rycerskim obyczajem od stóp do głów. Przy nogach leżał szyszak otoczony koroną; na wielkiej szabli, a obok mioteczka brzoza. Białe miał włosy, jak puch białego gołębia, a twarz podobną widywałem na obrazach Bolesława Chrobrego.

— Ku niemu szliśmy prosto. Ukłakłem mimowolnie przy jego kolanach, z uprzejmym wyrazem położył mi rękę na ramieniu i pamiętam jak dzisiaj, w te mówił słowa:

— Wezwaliśmy cię, Synu, w ważnej sprawie. Za chwilę porzucimy ten zamek, aby odtąd z innego świata już czuwać nad nim. Cóż robić? Jednak nie rozpaczamy: pozwolono nam zostawić następcę takiego, jakim tylko ty być możesz. I ty nim będziesz, bo naszej miłości wszystko poświęciłeś; nawet swój rozum. Odtąd jesteś królem tego zameczyska.

— Zalałem się łzami uniesienia, chciałem ucałować nogi mówiącego; ale on kazał mi się podnieść i czekać skończenia obrządku koronacji. Tymczasem wymówił imię, którego ci nie powtórzę, bo jest pod klątwą wiecznego milczenia w moim państwie; a na to wezwanie wystąpił jeden z tłumu królewskiego, podobny strojem do Stańczyka i zbliżył się w głębo-

kiem upokorzeniu; na powtórny znak króla rycerza, zdjął z siebie cały ubiór i złożył go na ziemi. Król-Patryarcha zarzucił mi na ramiona serdak, na głowę włożył czapkę i mówił:

— Oto jest królewski twój ubiór. Masz go w puściźnie po najbliższym twoim poprzedniku. Z tą szatą wkładam na ciebie wszystkie cierpienia, hańby: zamień ją w purpurę chwały. W twoje serce zamykam całą boleść téj chwili; czoło namaszczałam łzami, które do koła widzisz, ręce uzbrajam tą miotelką mojej łaźni, będzie ona dla ciebie berłem i mieczem; a skronie twoje — mówił, zrywając gałąź rosnącej przy sobie dzikiej róży — opasuje tym wieńcem, jak koroną, ażeby kolce jego nie dozwalały ci zasypiać na tronie. Twojem państwem te gruzy; twoją potęgą wielkość ich przeszłości zamieniona w boleść; twoje powołanie panować przez cierpienie źródłem uciechy. Tym tylko sposobem dopełnisz królewskich powinności i zdasz twoje dziedzictwo godnemu następcy.

— Chciał jeszcze mówić, kiedy nagle odezwała się przeraźliwa trąba przed zamkiem: mnie się zdało, że pastusza, ale się omyliłem, bo na jej odgłos zachmurzył się król-rycerz i zawołał:

— A więc i goniec z ostatnią wiadomością. Wszystko już skończone. Dzieci w drogę!

Do mnie zaś tyle jeszcze powiedział:

— Stańczyk wprowadzi cię na królestwo i jest na twoje rozkazy. Żegnaj nam królu zameczyska i panuj jak ci zaleciłem.

— Ledwie mogłem dosłyszeć słów ostatnich, ta-

kie narzekania podniosły się w odechodzącym orszaku. Za chwilę straciłem wszystkich z oczu. Wybiegłem w ich ślady za obręb zamku. Jakiś czas zdawało mi się, że ich widzę, że słyszę bolesne ich pożegnania. Może i tak było, ale wkrótce w miejscu się pozostaly tylko skały martwe, drzewa chwiejące się silnym wiatrem i różnogłosy szum wichru. Okropna noc! mało pamiętam podobnych, a żadnej takiej.

— Cały świat zajęty był rozprawami; nie dziwne go, że w tej nocy nie uważał, a ja tymczasem królem zostałem i doświadczyłem pierwszej boleści; część zamku upadła. Upadła wtedy właśnie, kiedy wybiegłem za nimi. Rozpoznałem jeszcze w składach i drzewach oddalający się orszak, kiedy nagle zatrzęsła się ziemia, w głowie zadzwonił grzmot przeraźliwy, jak żeby piorun w ucho uderzył, a całe powietrze zabiegało obłokiem pyłu tak gęstym, że ledwie mogłem oddychać.

Długo nie mogłem kroku jednego naprzód postawić. Skoro wiatr przepędził cokolwiek kurzawę, wbiegłem wewnątrz zamku, kilka pokoiów zniknęło pod gruzami. Zapłakałem, ale nie byłem winien. Tylko co zaczęłem panować. Od tego to czasu jestem królem. Sam teraz osądź, czy mam do tego prawo, czy jestem przywłaszczycielem, królem z przywidzenia, waryatem.

— Pierwszemu tobie tak się spowiadam. Z innymi ludźmi nie wdaję się w podobne rozmowy. Ni-

gdyby mię nie pojeli. Patrzą na ten zamek, a nie widzą czém on jest, jak coraz bardziej upadają, a nie wiedzą co to znaczy; zginie zupełnie, a dla nich będzie to wszystko jedno. Ani głowy ani serca u nich. Cóż robić z takimi ludźmi? Niekiedy dam im uczuć chłostę mojej miotłki; a oni biorą to za fantazyę waryata. Do tego stopnia stracili sumienie, że nie czują nawet wstydu; śmieją się z własnej hańby, z własnej obelgi najkrwawszej, jaką człowiekowi wyrządzić można. Powiedzą tylko: Machnicki to złośliwy waryat! i na tém kończą. Bywa, że nie mogę się wstrzymać i wołam w żywe oczy: gdybyście wy mieli więcej uczucia i pojęcia, Machnicki nie byłby dla was waryatem, oddalibyście swój rozum za jego obłąkanie. Ale te wszystkie przymówki, to groch na ścianę. Nie podobna też wykladać wszystko jak na łopacie. Zresztą może być wyraźniejsze słowo, jak te gruzy? — Jeżeli one nie mają dla nich znaczenia, czegoż mają się spodziewać po brzęku słów moich? — — Podałem się więc wyrokom i sam cały ciężar dźwigam. Sam, własną tylko myślą, podpieram te gruzy jak mogę. Ale są chwile, w których czuję, że upadnę wraz z niemi. One się powiększają z każdym rokiem, a myśl moja coraz słabsza, coraz bardziej ugina się pod ich ogromem. Każdy kamień pada na nią i robi w niej szczerbę: coraz mocniej cierpię, a coraz mniej jestem w stanie zaradzić złemu. Takie jest moje panowanie, taka moja królestwość! — Pośępnie zwiesił głowę i milczał, nagle wstrząsnął dzwonekami, popatrzał w około, jakby przychodził

do siebie po śnie przykrym, twarz jego wygładziła się uroczystą powagą, w oczach osiadła duma władzy, wyciągnął prawą rękę jak do rozkazywania:

— Nie, — zawołał — nie upadnę ja tak łatwo. Jestem jeszcze królem. Cierpię wprawdzie, jak żaden król nie cierpiał; ale téż używam, jak żaden król nie używał, wzniosłem się do najwyższej ludzkiej potęgi. Wszedłem w świat duchów, żyję z duchami, rozkazuję duchom. Dla mnie cała przeszłość jak obecna chwila. Przestrzeń tysiąca mil ogarniam jednem spojrzeniem. Dla mnie nie ma nic martwego w obrębie mojego królestwa. Położę rękę na głazie i czuję pod ręką bijące serce, drganie życia poczynającego się w łonie kobiety. Dotknę się ustami listka! listek oddaje mi ogniste pocałowanie miłości; gałąź ściska mię jak dziecko, gdy je matka pieści. Kiedy przechodzę między różami, róże uśmiechają się jak dziewice i rzucają mi swoje kwiaty pod nogi; murawa, jak tłum ludu uchyla głowy na mój widok. Każde źródło zaprasza mię do siebie i rozprawia o przyszłości nieskończone dzieje. Przed muzyką moich ptaków, które mię usypiają i budzą, niech milczą wszystkie muzyki, jakie są na świecie. Pojrzyj na te czaszki, kości, szkielety, zbroje, głazy, to mój dwór żywy, wszystko to żywe.

— Kiedy strudzony kłopotami państwa, wchodzę tu na wytchnienie, wszystko to ożywia, garnie się do mnie. Zasiadamy wkoło; stare kamienie dają mi rady, rycerze gotują broń do przyszłych bitew, orzeł mierzy oczami drogę do słońca: mam przed sobą całe życie

przeszłości i widzę na jój kolanach przyszłość, a dla niej zapominam o obecnej chwili, o obecnym świecie.

— Jestem król nad króle. Moje ziarno rozrosło się kiedyś na świat cały. Dla tego tak głęboko skryłem się z niém pod ziemię. O! gdybyś ty wiedział wszystkie tajemnice tego pałacu.

Korzystałem z kilku chwil milczenia, które po tych słowach nastąpiło i rzekłem:

— Tajemnice te nie są zapewne dla podobnych mnie; ale sądzę, że mi wolno wiedzieć, co to jest ta jaskinia, i jakim sposobem przyszedłeś pan do jój odkrycia?

— Dziwne rzeczy! wszak prawda, że dziwne? — zawołał Machnicki: Mogę jednakże dać jeszcze jeden dowód mojej dla ciebie uprzejmości, uchylić po części zasłonę tych jeszcze tajemnic. Słuchaj więc, jak się to stało.



przeżył i widzę na jej kolanach przysięgę, a dla
niej zapomina o obecnej chwili, o obecnym świecie.
— Jestem król nad królami. Moje imię król-
skie kiedyś na świecie było. Dla tego tak głęboko skry-
łom się z nim pod ziemię. O! gdybyś ty wiedział
wszystkie tajemnice tego pałacu.

Korzystam z kilku chwil milczenia, które po tych
słowach nastąpiło i rzekłam:

— Tajemnice, to nie są tajemnice dla podobnych
nam; nie sądzę, że mi wolno wiedzieć, co to jest ta
jaskinia, i jakim sposobem przyszedł pan do jej od-
krycia?

— Prawie rzeczy! Wszak prawda, że dziwne? —
zwolnaś! Mnie nie: Mógł, jednakże dla każdego jeden
dowód mógł dla ciebie niepojętości, uchylić po części
zasłonę tych tajemnic. Słuchaj więc, jak się to
stało.



VI.

Dalszy ciąg historyi Machnickiego.

VI

Balszy oig historyi Maszynickiego.

VI.

DALSZY CIĄG HISTORII MACHNICKIEGO.

Nim przystąpimy do dalszego ciągu powieści Machnickiego, muszę tu zamieścić uwagę potrzebną, ażeby czytelnik lepiej schwycił charakter jego obłąkania, i nie kładł na mój karb wszystkiego, co go może razić w tém opowiadaniu. Dwa stany objawiły się w nim, ile razy mówił, zwłaszcza cokolwiek przydłużej. Czasem odbiegał głównej osnowy, jękał się, miewał wyobrażenia, łapał wyrazy niewłaściwe, wpadał w powszedniość prozaiczną; było to wtedy, kiedy satyryczna wycieczka do obecnych czasów i ludzi sprowadziła go z toru ulubionych marzeń, gorzki smutek wówczas związał niejako skrzydła jego fantazyi, zaciemniał jęj gwiazdę. Lecz kiedy gnał pełnemi żeglami po zwyczajnym sobie poetycznym świecie, kiedy nie spotykał na drodze żadnego żywiołu, przeciwnego jemu, dusza jego wówczas

była muzyczném narzędziem, doskonale wystrojoném, myśl jedną pieśnią, a słowo, z boku rzucone, rozpoczynało tę muzykę z innego tonu, nie psuło harmonii ogółu.

W tém drugiem usposobieniu właśnie się teraz znajdował. Odpowiedział więc na moje zapytanie, jak żeby odpowiedź jego była koniecznym ciągiem tego, co dotąd mówił, jak żeby nie słyszał nawet mojego zapytania.

— Byłem — rzekł — zupełnie szczęśliwy. Wprowadzony przez Stańczyka na królestwo, postawiony przez niego u stępu państwa, puściłem je w ruch dalszy. Ale sprawy te potrzebowały mojej wszechobecności; osiadłem więc na zamczysku, a stolicę założyłem w dwóch nietkniętych jeszcze od zniszczenia komnatach. Urządziłem je po królewsku. Zawiesiłem całe ściany ozdobami moich marzeń, obrazami dziejów, proroczymi zasłonami. Powietrze ich dyszało tylko życiem mojego świata. Kilkanaście lat które w nich spędziłem, były jedną królewską ucztą. Myślałem, że tam skończę, pragnąłem skończyć. Stamtąd tak blisko było mi do raju: jeden krok tylko, a byłbym w raju.

— Inaczej się stało. Ostrzegło mnie o tém jakieś przeczucie. Dziwne sny, niepojęte widzenia, znaki na ziemi i na niebie, prześladowały mnie od jakiegoś czasu bez ustanku, zapowiadały jakąś nadzwyczajną, stanowczą zmianę w mojem życiu. Często wśród burzy, olbrzym głowa jak chmura kradła się nad zamkiem i lizała gruzы ognistym językiem, jak błyskawicą; niekiedy wicher wrzucił we środek poczwarną sowę i plą-

tał jój skrzydła w mury; trzeba było wiedzieć, jak się po nich tłukła, aż cały zamek się wstrząsał, dopóki się nie wydobyła; trzeba było słyszeć jój wycie. W czasie piorunów dziwne jakieś jaszczurki, dłuższe od położów, snuły się wzdłuż murów, a przez ich skórę przezroczystą ogień przezierał, jak żeby całe ogniem były napełnione. Codzień zjawiały się nowe jakieś gady, potwory. Słyszałeś zapewne, że w pewnych śmiertelnych chorobach ciało ludzkie już na kilka dni przed śmiercią zaczyna się rozkładać w obrzydliwe robactwo. Powiedziałbyś, że zamek był w podobnej chorobie. Przeczuwałem, bolałem, nie opuszczałem go jednak. W tym stanie doczekałem się Września. Niedawno to było, kilka lat temu. Mijały już pierwsze dni jego. Dusza była coraz niespokojniejsza, zjawiska coraz groźniejsze. Ze świtem dnia jednego powstała niewidziana, niesłychana burza. Dwa dni trwała. Nie wychodziłem z zamku na chwilę. Żyłem w nim jak zwyczajnie; jak zwyczajnie układałem się do snu za nadejściem drugiej nocy. Łatwo usnąłem, posłyszałem dziwne, przeraźliwe głosy i wołanie, uciekaj! uciekaj! Obudzilem się i postrzegłem Stańczyka. Szarpał mię za rękę i wołał: chódź! chódź ze mną. Nie możesz tu dłużej zostać! — Dla czego? — zapytałem. — Za chwilę gruzy spać tu będą.

Ścisnęło mi się serce, ale zawołałem;

— Nie! nie pójdę. To moje królestwo, ja jego król! zginę z nié razém.

— Na to Stańczyk odparł:

— Ocalaj się, a ocalisz królestwo. Twoje państwo większe jak myślisz. Chodź tylko za mną.

I wyciągnął mię półgwałtem. Zaledwośmy wyszli, a moja stolica runęła. W moich oczach spuścił się na jej dach ptak olbrzymi, ognistym jak piorun wężykiem, widziałem to wyraźnie; słyszałem szum z jakim usiadł, przygniótł ją swoim ciężarem, okrył się obłokiem kurzawy ze starych gruzów i razem z nią zniknął.

— Złamałem ręce: a Stańczyk zaśmiał się. Miałem już wybuchnąć najwściekłym gniewem.

— No, no, uspokój się — rzekł do mnie z najzimniejszą krwią. Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprowadzie bolesny, ale nie powód do rozpacz. Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu; ale pilnuj korzenia, tam życie. Dla tego w prowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś. — Chodź za mną.

— I wskazał mi to podziemie. Z czasem przekonałem się, że słusznie mówił. Jestem znowu królem, ale większym, potężniejszym, jak kiedykolwiek byłem. Prawdziwe to ziarno mojego państwa. Gdziekolwiek znajdę jego okruszynę, podnoszę ją troskliwie i składam tutaj, tym sposobem powoli zebrałem i skupiłem całe jego życie.

— W końcu przyzwyczaiłem wszystkich poddanych do nowej stolicy. Żyję pod ziemią takim królem, jak żyłem na ziemi. Sam prawie własną pracą ubrałem to miejsce jak widzisz. Zyskałem i to jeszcze, że bezpieczny od ciekawych ludzi. Ten odsłoniiony bok jaskini, tak wysoko wznosi się nad dolinę i tak jest niedostępny, że z téj strony ptaszemi tylko skrzydłami możnaby dolecieć do mnie. Te okna wyglądają na zewnątrz, jak nora sowy: nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby mogło przez nie wyglądać ludzkie oko. Mam źródło niewyczerpane, mam zapas jedzenia dostateczny, podziemnymi przechodami mogę dojść w różne strony, Bóg wie jak daleko. Niemi to rozpuszczam powoli życie powierzonego mi ziarnka, piszę kronikę i czekam spokojnie kresu moich rządów.

— Tak! spokojnie umrę. Robię swoje i zrobię. Mniejsza o to, że dla świata jestem waryatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełnym sercem do niego, to i on da ci swoje uczucie. I on ma przeszłość, życie; nie schodzi ze swojej drogi, wypełnia co mu przeznaczono: a między ludźmi są zimniejsi, nieczuli, niepożyteczniejsi jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości nie dadzą jednego technienia. Wszystko dla nich, nie drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepiarek, a nie przyłożą się do nowej, wspólnej, choćby jedną cegielką.

— Co nas to obchodzi? alboż nie mamy gdzie mieszkać?

— Wołaj do nich: ratujcie stary zamek, to pień, z którego wyrosły dzisiejsze wasze domy; bez niego nie byłoby tych waszych mieszkań, oni ci na to odpowiedzą:

— Albo my głupi leżć pod gruzy, żeby nas pogniotły.

— Nikczemnicy! nie byłoby gruzów, żebyście wcześniej byli pomyśleli o naprawie. Oni zawsze swoje: niech się wali, kiedy czas jego przyszedł. Niech się wali!...

Czy wy myślicie, że będziecie na to patrzeć tak bezpiecznie, jak bezpiecznie patrzycie, kiedy pajak muchę dusi? Czy wy myślicie, że przeszłość, co go stawiała, nie myślała o przyszłości nic a nic? Wicie wy o tój tajemnicy pewnych budowniczych, którzy zakładają swoje budowy nie na martwym tylko kamieniu, ale poświęcając duchowi opiekuńczemu najdroższe czasem głowy. Otóż przeszłość budując, daje w zakład głowę przyszłości. Ten zamek na wasze głowy założony. Wy to będziecie kiedyś odpowiadać za byt jego. Nowemu czasowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzątać gruzy, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość. Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niej kamienie na wszystkie strony. Dościsnąć się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumięją mię wtedy. Przyznają waryatowi rozum. Słowa waryata będą krążyły jak pieśń proroczna. Ale

biada temu, kto lekceważy niemiłe sobie proroctwa i czeka niewierny z założonemi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

— Przyszłość rozwiąże, tylko że drogo trzeba jej za to płacić. A jednak żal mi tych ludzi, wielki żal.

— Oni musieli ci inaczej o mnie nagadać, bo pewnie gadali; oni muszą mię uważać jak człowieka, który już nie ma nic wspólnego z ludźmi, najmniejszego dla nich współczucia. Nie wierz temu, oni się mylą. Powiadam ci, że codzień nad nimi płaczę, nawet śmiechem.

— Kiedy wejdę pomiędzy nich, w takie n. p. zebranie, jakie było wczoraj, kiedy spojrzę na tę młodzież, na te kobiety, na te dzieci, kiedy widzę ich szczerą wesołość, ich taką miłość dla siebie, nadzieje takie promienne, tyle przyszłego szczęścia w marzeniach, a kiedy pomyślę sobie . . . nagle staną, jakby się postrzegł, że miał coś nadto okropnego powiedzieć, mimo to zmienił wyraz rozrzewnienia w wyraz dziwnie gorzkiego szyderstwa i równie zagnęła zawołał; wtedy śmieję się im w oczy, bez żadnego względu. Niech sobie tłumaczą mój śmiech jak im się podoba. Wszystko mi jedno. Jest to może najwymowniejsze moje słowo. Jeżeli i tego jeszcze nie pojmują, nie moja wina. Wyrażne ono dla ludzi, co mają czucie głębsze jak kołyska, wyższe jak powała sypialni, przestronniejsze jak gumno. Wyraźniejszego nie wolno mi użyć.

Na tych słowach zeszła nowa scena, która mię wprawiała w mocne chwilowe zdumienie. Machnicki był w nateżeniu uniesienia, ja w nateżeniu ciekawości, kiedy nagle zciemniło się: spojrziałem w okno i postzegłem w niem rzadkiej wielkości puchacza, z rodzaju skalnych, a w téjże chwili usłyszałem kilkokrotnie grobowe jego huknienie. Machnicki porwał się z siedzenia, nawrócił ku ptakowi ucho z niespokojną uwagą, i nie bawiąc, zasunął proporce tak nagle, że nie postrzegłem się prawie i znowu sam zostałem.



VII.

Pożegnanie.

III

BOOKS

VII.

POŻEGNANIE.

P tak nie zaraz umilkł, słyszałem kilka razy jeszcze głos jego. Nastąpiła potem głęboka i długa cisza za zasłoną, przerywana tylko odgłosem dzwonek i kroków Machnickiego. Po pewnym czasie zasłona odchyliła się i Machnicki wyszedł w powszednim już stroju.

— Daruj, daruj — zawołał ściskając mi ręce ze szczerą uprzejmością, że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przedewszystkiém, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze wkrótce. Wszak słyzałeś tego ptaka? Nie bierz mi więc za złe, że się musimy rozstać. Sprawy publiczne przedewszystkiém. Dziś jednak czuję bardziej, niż kiedykolwiek ich ciężar. Wszakże nie ostatni raz widziemy się? Spodzie-wam się, że odwiedziś mi jeszcze.

Przyjdź, jeszcze przyjdź jutro. Wiele, wiele mam jeszcze do powiedzenia. Co słyszałeś, to niczém jest prawie. Daj słowo, że przyjdiesz.

Na całą tę mowę odpowiedziałem z równą szczerością, że jestem wyrozumiały na powód roztania się, że nikt nie mógłby mu wziąć za złe tej gorliwości w dopełnianiu obowiązków, że pożegnanie go w tej chwili jest i dla mnie przykre, wszakże osładza je nadzieja powtórnego widzenia się, że je przyspieszę o ile będzie to w mojej mocy; nakoniec przyrzekłem, że jutro znowu powrócę. Po tych i podobnych słowach pożegnania, Machnicki zapalił lampę, i odprowadził mnie tą samą drogą aż do otworu. Przy otwarciu miałem jeszcze nowy dowód jego dobrego serca łatwo lgnącego, kiedy znalazł kogoś po swojej myśli.

— Odpocznijmy tu chwilę — rzekł — zmordowałem się trochę.

Ja jednak widziałem tylko w tém chęć pochlebną dla mnie dłuższego znajdowania się razem. Usiedliśmy na wschodach. Machnicki wziął mnie za rękę i mówił głosem malującym głębokie rozrzewnienie:

— Jak mi żal! jak mi żal, że tak krótko jesteśmy z sobą — i łzy stały mu w oczach. Podobne chwile tak rzadkie są dla mnie; podobne spotkanie prawie nigdy. Wierz mi mój przyjacielu, że tego dnia nigdy nie zapomnę; wieczniebym żałował, gdyby miał być jedynym w mojem życiu. To taka rokosz znaleźć w tym świecie powszednim kogoś, co by cię rozumiał, któremu całą duszę otworzyć można, bez obawy sztyderstwa. Przyrzekłeś jednak, że wrócisz. Pamiętaj,

wracaj; jutro, pojutrze, kiedykolwiek, tylko wróć. — Pamiętaj, że czekam, a czekanie, to cierpienie i wielkie czasem. Ale jeszcze chwilę możemy być razem.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, przerwał je znowu Machnicki.

— Jaka szkoda, że musimy się rozstać. Nie wiem, co mię tak przywiewuje do ciebie. Może. — kto wie — może ty będziesz moim następcą? Ale ty zapewne śmiejesz się w duchu z tych marzeń szaleńca i ze mnie!

Zdaje się, że ta uwaga wprawiła go w przykry stan duszy, umilkł na chwilę, zasępił się, nakoniec przechodząc w rozrzewnienie coraz głębsze, zawołał:

— Nie śmiej się przyjacielu, nie śmiej się ze mnie. Przysięgam na najświętsze tajemnice mojej duszy, że w tém wszystkiém nie ma nic śmiesznego.

— O! gdybyś ty mógł przejrzeć mię na chwilę, zobaczyłbyś, co to za przepaść smutku, a jakiego smutku! — tu łzy płynęły mu rześnym strumieniem. — Ale ty zstąpisz znowu między ludzi zwyczajnych; słońce mojego królestwa zajdzie dla twojej duszy; owionie cię morowe powietrze zimnego rozumu; usłyszysz znowu zewsząd: co to za waryat ten Machnicki, mieć się za króla jakiegś tam kupki gruzów! A ja ci powiadam, że każdy z nich w swoim domu jest takim waryatem, tylko, że nie mają królewskiej duszy, królewskich moich uczuć.

— O! gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnicki na swoim miejscu, wiesz co by nastąpiło? powiem ci pod wielką tajemnicą: wkrótce powstałby

jeden ogromny nieśmiertelny król. Zapewne nieśly-
szaleś jeszcze o téj dynastyi? A tymczasem ona to
jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie,
byli tylko chwilowymi jój namiestnikami: ale Pan pra-
wdziwy to ona; była nim i będzie.

— O! będzie. Wiem to dobrze. Ale nie przez
tych, których mieszkania widzisz do koła po dolinach,
mieszkania wykwintne, porządne; nie! nie przez tych,
a sami temu winni; ale sama przez siebie, jak jest
Bóg przez Boga. A wtedy kochani moi sąsiedzi, co
się dzisiaj ze mnie śmieją, zapłaczą nad sobą; sami
nazwą siebie, jak mnie dziś nazywają, ubiorą się sa-
mi w moją purpurę, w moją koronę, ale zapóźno:
co dzisiaj zasługą, potem będzie karą. Moja i podo-
bnych mnie rola, skończy się; moje tronowe ozdoby
wyjdą z mody; nowy król będzie olbrzym, weźmie
suknie stósowne do swojego wzrostu. Słońce mądro-
ści i chwały milionów będzie jego koroną, przy niéj
reszta będzie wyglądać jak moja czapka.

— A wiesz kiedy to przyjdzie? Na wszystko są
znaki, ostrzeżenia.

— Zajrzyj do ewangeli. Chrystus dopiero wte-
dy zmartwychwstał Bogiem, kiedy ciało jego umarło.
Wszak tak? Resztę sam sobie wytłómacz. Ty je-
szcze zobaczysz to wszystko. Część téj korony do-
stanie się i tobie; będzie ona tak wielka, że wszy-
stkie głowy nakryje. Ja skończę w téj, w której cier-
piałem. Ja już tylko na grób pracuję: o grób was
tylko proszę. Niechaj nim będzie kupa tych gruzów,
ta góra. Nie potrzeba żadnych napisów. Kto popa-

trzy, zaraz pozna, co w niej leży: gruz olbrzymiej myśli. Z tą myślą umrę spokojny.

— Robiłem co mogłem: nie mogę więcej. Bóg mi świadkiem, że nie mogę. Powiedz—że sam, czy mogę? Może wiesz co jeszcze? Powiedz, a zrobię.

Milczałem, odpowiedziałem łzą serdecznego wzruszenia. I w rzeczy samej, można poświęcić więcej nad to, co Machnicki poświęcił? Monaż więcej cierpieć?

— Ale ja cię nudzę za długo, a przytém obowiązki moje. Sam przyznasz, że obowiązki przedewszystkiém.

— Żegnam cię więc jeszcze raz, do widzenia. Do widzenia! pamiętaj, mój przyjacielu, mój bracie!

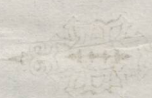
Uścisnęliśmy się z całego serca; głaz otworu podniósł się, wyskoczyłem szybko, głaz upadł, usłyszałem jeszcze głuche westchnienie Machnickiego, jak z grobu, potem cichość dokoła i gruzy.



— Może wiesz co jeszcze? Powiedz, a zrobie.
— Hechtem co mogłem: nie mogę więcej. Hóg
— A id myślę nure spokojny.

— Hechtem, odpowiedziałem tak serdecznego wstrę-
szenia. I w rzeczy samej, można powiedzieć więcej
i tak to, co Machnicki powiedział? Można więcej powiedzieć?
— Ale ja cię nanie za długo, a przynajmniej obo-
względnie. Sam przynajmniej, że obywatelski przebie-

— Kogam się więc jeszcze tak, do widzenia.
— Wiedziałem! pomyślałem, mój przyjacielu, mój bracie!
— Wskazywały się z całego serca; głaz otworu pod-
nosił się, wskazywał szpilo, głaz upadł, nalyżysiem
— Głazie westchnienie Machnickiego, jak z grobu
— Głazie cichota dookoła i głuzy.



VIII.

Zakończenie.

VIII.

Наполеон.

O nęko ciałem mówion do siebie i tak
 wiek jest dla rozsy światu niczem więcej tylko wa-
 rytom? Świat go wyżył, wyżył z postobka sie-
 nie, pływaj na niego, gdyż go nie sądził godny-
 xym. Młoci jak nogamy; już to najmiej, kiedy go
 ma za nie. A tymczasem ten obłąkany ciał i nie-
 li, jak nie ciałe radeń a ludzkiej się nad nim, już
 nie myśl kadeń ztych, co się mają za rozumniejsz-
 do niego.

Oni rozumni, a on jednak głupi. VIII.
 myśl, kłóci on pojść nie mogą, i cze zawo-
 stępuje do niej i każdy krok jego jest jej konie-
 zają nieobpar. Zakończenie.

Logiczność jego aż w okropność wchodzi, mimo to
 wciąż dale. Osiel sobie zawo-
 nie wytrzymać przez w nim, aż cały palat do

Sam tedy byłem wśród gruzów. Nie byłem sam.
 Cały czas przepędzony w podziemiu, zalęgł pamięć,
 stał przed duszą, jak sen w prawdzie, ale jak sen bar-
 dzo wyraźny. Gdzie się zwróciłem, widmo Machni-
 ckiego zastępowało mi drogę; głos jego ciągle brzmiał
 w uszach, cała mowa jego wcielona w postacie żyją-
 ce, fantastyczne, krążyła po duszy rojem marzeń dzi-
 wnych, gorzkich, coraz posępniejszych. Usiadłem na
 gruzach, pojrzałem po okolicy, a cała okolica wydała
 mi się, jak żebym patrzył na nią okiem Machnickiego,
 puściejszą, bardziej martwą jak gruzy, wśród których
 spoczywałem. Ścisnęło się serce, lzy mimowolne stały
 w oczach, bolesne szyderstwo łechtalo we wszystkie
 uczucia, myśli urągania chwiały głową.

O nędzo czasów! mówiłem do siebie, i taki człowiek jest dla reszty świata niczém więcej, tylko waryatem? Świat go wyszydza, wytrąca z pośrodku siebie, plwałby na niego, gdyby go nie sądził godniejszym litości jak pogardy; już to najmniej, kiedy go ma za nie. A tymczasem ten obłąkaniec czuje i myśli, jak nie czuje żaden z litujących się nad nim, jak nie myśli żaden z tych, co się mają za rozumniejszych od niego.

Oni rozumni, a on waryat! A on jednak pojął myśl, której oni pojąć nie mogą, i całe swoje życie stósuje do niej, i każdy krok jego jest jęj koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zboczy z tęg drogi; logiczność jego aż w okropność wpada, mimo to idzie wciąż dalej. Obrął sobie zawód, przyjął powołanie, i nie wykroczy przeciw niemu, aż cały puhar do dna wychyli.

Taki obłąkaniec nie powinien-że być wzorem dla tłumu owych bardzo rozumnych? nie więcej-że on wart od nich? I dla czegoż to wszystko robi? Po co to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? czy marzy o jakieg nagrodzie osobistęj?

Nie! pełni swoję powinność, jak drzewo rośnie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci dla drugich nie dla siebie. Ale w oczach powszedniego świata, to właśnie jest dowodem obłąkania.

O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedynczych rozumów rozerwa-

liście mądrość ludzkości rozbiliście na miliony bryzgów jęj słońce, rozgrabiliście, jego okrucy, zniszczyliście wzajemnie ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdej cząstce jęj blask i ciepło, które wzajemném tylko zasilaniem się mogą trwać i działać: odebraliście mi cały przymiot ich nadziemskości.

Wy się o to nie troszczycie: wy chcecie, aby te światła były tylko narzędziami waszych osobistych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczyły, a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejda bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejda? zobaczemy

Chciałem wyjść nakoniec z tak niemiłego stanu i rozpogodzić umysł wycieczką w okolicę; zerwałem się, popędziłem bez celu między góry i lasy: ale świeża nawałnica tak popsula drogi, rozmoczyła ziemię, że każdy krok po śliskim i grzęskim błocie drażnił jeszcze bardziej wewnętrzne rozjątrzenie; wpadłem do reszty w zły humor i wróciłem do domu w nielepším. Nie wspomniałem nikomu o mojem widzeniu się z Machnickim, ale zdradzałem się w każdej chwili. Przymawiałem mężczyznom, gadałem niegrzeczności kobietom, tak dalece niebyłem panem siebie, że jedna z mających prawo przemawiać do mnie poufalaj, zmuszona była zawołać: czy pan oszalał?

Nazajutrz zabierałem się do powtórnych odwiedzin Zameczyska. Dzień był piękny, obiecywałem sobie, że dla mnie będzie rozkoszny. Inaczéj się stało. Odjechałem w stronę całkiem przeciwną na zawsze. Po

Machnickim wspomnienie mi tylko jednego dnia pozostało.

Gdyby los od mojego życzliwszy dał komu w ręce kronikę Machnickiego, niech ją nam ogłosi, przynajmniej w wyjątkach. Sądząc z tego co czytałem, z tego co wiem o jej twórcy, mogę naprzód zaręczyć, że będzie to dzieło rzadkiej poezyi, a przytém pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazją obłąkańcą; bądź co bądź, jedyne w swoim rodzaju.

KONIEC.



